Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy).

I.

Tur i żubr.

Tur *(Bos primigenius)* zamieszkiwał w końcu epoki dyluwialnej całą środkową Europę pospołu z innymi kolosami, z mamutem *(Elephas primigenius)*, nosorożcem *(Rhinoceros tichordinus)* i innymi. Podczas gdy współczesne mu olbrzymy wymarły, bądź w walce z człowiekiem, bądź pod wpływem nieznacznie lecz ciągle zmieniających się stosunków klimatyczno-kosmiczych naszego globu; podczas gdy inni współmieszkańcy jego zmienili granice swej ojczyzny, posuwając się bądź na południe, bądź na północ, bądź wynosząc się w okolice górskie — przetrwał tur na obszarze ziem środkowej Europy zmienne koleje podniebia, tak, iż późna już epoka historyczna spotyka go w obfitych stadach, zamieszkującego lesiste kraje starej Germanii.

Przed turem i żubrem zamieszkiwał prawdopodobnie Europę inny gatunek wołu, a mianowicie wół piżmowy *(Bos moschatus)*, żyjący obecnie na wysokiej północy w Ameryce, a tur i żubr wtargnął u schyłku epoki lodowej z Azyi do Europy — objaw, który nie u jednego gatunku zwierząt dałby się skonstatować, a ma miejsce i w czasach historycznych.

Ów wielki kontynent, wyrzucający z swego wnętrza od czasu do czasu całe narody, także i pod względem fauny niemniej okazuje się płodnym, a wszystko co tam się zerwie do ruchu, dąży na zachód, do owej małej stosunkowo Europy i dopiero na brzegach Oceanu zaporę dalszej wędrówki znajduje. Wspominam tu na potwierdzenie tego zdania wędrówkę szczura azyatyckiego *(Mus decumanus)* w r. 1727, który, przepłynąwszy Wołgę, zagarnął Europę dla siebia, wygryzłszy wszędzie dawnego europejskiego szczura domowego. Przytoczyć także można wędrówkę mieszkańca dalekiego wschodu azyatyckiego, kormorana, będącego od lat 300 stałym zjawiskiem w Austryi, w Niemczech, a obecnie nawet przemieszkującego na wyspach brytyjskich, a wreszcie wspomnieć się tu godzi i o pustynniku jako o najświeższym przybyszu, gdyż wtargnięcie jego w kraje Europy do ostatnich lat dziesiątków się odnosi.

Snać o wiele później wyznaczona była turowi chwila zatraty na zegarze wieków, a leśny ten zwierz upodobał sobie owe ongi lesiste kraje Europy, w których, jak świadczą współcześni Rzymianie, 60 mil można było jechać niewyjrzawszy z lasów. Germania, ów kraj, w którym oręż światowładnych Rzymian złamał się w chwili, gdy przyszła im ochota zaczepić swobodne dzieci kniei w ich naturalnej twierdzy, którą pospołu z dzikim zwierzem zamieszkiwali, była siedliskiem i dla tura, epigona z epoki dyluwialnej.

A podobne stosunki panowały mniej więcej podówczas w całem owem paśmie Europy, niewyłączając i naszej ojczyzny, w owem paśmie szerokiem krajów, których mieszkańców wysoka kultura Rzymian mianem barbarzyńców ochrzciła.

Wątpliwości zatem nie ulega, iż kraj nasz, posiadający niemal jedną i tę samą przeszłość geologiczną i podobne stosunki klimatyczne w wiekach historycznych, posiadał również stada turów, a jeżeli rozpocząłem od Germanii, to dlatego, iż jedynie o niej posiadamy wiadomości historyczne z owych epok, w których ziemie nasze i ich dzieje gęsta mgła zalega.

Z mgły tej jednak tu i owdzie wyłania się już postać tura, zwierza miejscowego i dobrze ludowi znanego, mającego należeć do pojęć i obrzędów Słowiańszczyzny, gdzie tur miał być symbolem słońca i gdzie na cześć jego obchodzono święto „Turzycami“ zwane. (Hanusz, Łepkowski). Było by to tylko odbicie mitologicznej idei kraju Faraonów, gdzie oddawano cześć boską bykowi, urodzonemu z jałowicy, zapłodnionej promieniem słońca.

W zabawie ludowej, sięgającej swym początkiem najniezawodniej bardzo odległej starożytności, spotykamy się również z Turem czyli tak zwanym „Turoniem“, zwierzem o czarnych kudłach z rogami bydlęcymi, za którego w czasie świąt Bożego Narodzenia chłopak wiejski się przebiera, a inni go oprowadzają spiewając kolendy. Nie mogę tu zapuszczać się w rozstrzyganie, czyli zabawa z Toroniem, jest tylko przedrwiwaniem w czasach chrześciańśtwa dawnych pogańskich obrzędów, lub czyli w istocie utrzymała się jako zabytek przedchrześcijański. W każdym razie dowodzi, że tur niegdyś należał do najpospolitszych zwierząt na ziemi naszej.

Domniemywania, jakie podaje p. Jan Radwański w rozprawie swej o początkach powstania Turonia, przemawiają mi do przekonania, gdyż rzucają prawdopodobne światło na stosunki łowieckie i ziemiańskie w odległej naszej starożytności. Pozwalam też sobie przypuszczenia jego w streszczeniu przytoczyć.

W dawnych czasach turów uwijało się siła po rozległych lasach. Wiadomo, że w czasie ostrych zim, mianowicie kopnych a przeciągłych, co właśnie przypada na gody i zapusty, nietylko ptactwo ale i dziki zwierz szuka pożywienia u człowieka w oborze, w obejściu. Dawniej zaś, cóż dopiero kiedyś tam, gdy i rozmaity i liczniejszy był zwierz, nachodził obory nie tylko pojedyńczo ale gromadnie. Otóż najścia takie turów mogły być powodem później o tej samej porze do opowiadań o turze, następnie zaś do udawania tura, co wreszcie mogło przejść w zwyczaj dla przestraszania i wyłygu za bawidło. Polowanie zresztą zmuszało ludzi do przebierania się za zwierza. I ta zatem okoliczność mogła dać powód do zabawy w przebieraniu się za zwierza, do oprowadzania Turonia, gdy w domu gotowe skóry to ułatwiały.

Cezar na półwieku przed erą naszą, w dziele swem o wojnie galickiej, wyliczając zwierzęta owej Galii, powiada: *tertium est genus eorum, qui uri appellantur, hi sunt magnitudine paulo infra elephantos, specie et colore et figura tauri* (trzecim jest rodzaj tych, które się turami zowią; są one wielkości prawie słonia, pod względem gatunku, maści i kształtu wołami). Jest to najdawniejsza wiadomość o turach u Rzymian.

W pierwszym zaś wieku naszej ery, rzymski filozof i poeta Lucius Amnenius Seneca, w tragedyi swej Hypolitus, wyraźnie już odróżnia żubra i tura (A. 1. v. 65).

Tibi dant variae pectora tigres.
Tibi villosi terga bisontes,
Satisque feri cornibus uri.

W odległej zatem starożytności odróżniano tura od żubra. Już przed 2000 lat znali Rzymianie oba te zwierzęta, a naprowadzony cytat Seneki, owego mieszkańca Hiszpańskiej Korduby, powstał niezawodnie na podstawie opowiadań, podczas gdy w czasach naszych w wielkiej części zatracono różnice i zlano w jedną postać oba te wcale do siebie niepodobne zwierzęta. Dopiero część nowszych naturalistów wprowadziła korektę nazw, rozróżniając tura od żubra, inni zaś i w najnowszych nawet dziełach trwają dalej w błędzie, iż tur i żubr są tylko synonimami. Błąd ten dopiero w 17-ym wieku utrwalił się na dobre, jakkolwiek i przedtem już, osobliwie nasi pisarze, najhaotyczniejszej używali pod tym względem nomenklatury, a w szczególności historycy i ludzie w przyrodnictwie niefachowi, nie mówiąc już o dawnych dokumentach, w których dziwaczne nazwy zwierząt w ogólności napotkać można.

I tak n. p. w księdze aktów książąt mazowieckich znajduje się następujący przywilej na wieś Zatory, udzielony Michałowi de Zemianczyc: „*terram in longum et latum... venationibus quarumcumque ferarum, centauris et tigridis exceptis*“. Domyślić się tu trzeba, że owymi centaurami były prawdopodobnie tury lub żubry, a tygrysami rysie.

Długosz, pisząc o śmierci Selegiusza, piwniczego Bolesława Krzywoustego, tak rzecz przedstawia, (a podaję tu ten wyjątek w skróceniu): *Cumque Boleslaus dux zubronem unum rarae magnitudinis (etque lingua eorum Odyniec) exturbavit, verum Thurus Selegium ungulis deinde cornibus exceptum semi vivum in frutela et spinela projecit.* Co w przepolszczeniu brzmiałoby: Gdy książe Bolesław nadzwyczajnej wielkości żubra wyruszył (który się także zwie Odyniec) tur Selegiusza najprzód racicami, później rogami pobitego i półżywego w zarośla i krzaki porzucił — a dziać się to miało w lesie Wsosina. Zwierz w tym krótkim epizodzie nazywa się raz zubro (barbaryzm zastosowany do odmiany łacińskiej) to znów Odyniec, a wreszcie Thurus.

Podobne i ciągle powtarzające się pomieszanie nazw dało powód, iż nawet już w najnowszych czasach zaprzeczono bytności tura na ziemiach polskich w czasach historycznych, a świadectwa udowadniające, iż tur i żubr pospołu zamieszkiwały nawet w dość późnych epokach historycznych nasze knieje, utonęły w morzu przeciwnych, z doktrynerską finezyą wysnuwanych argumentów.

W pracy niniejszej, w której starać się będę wykazać, istnienie tura jako zwierza, na którego u nas łowy wyprawiano i którego królowie i wielcy panowie w zwierzyńcach utrzymywali, chcąc go w ten sposób od zatraty ochronić — wykażę także prawdopodobną chwilę, w której zwierz ten jako dziki zaginął w zupełności na naszej ziemi. Zmuszony jestem przytem dotknąć i historyi żubra, jakkolwiek zwierz ten podtrzymywany sztucznie w jednym zakątku dawnej naszej ojczyzny, należy jeszcze do istniejących i prawdopodobnie dopiero dla przyszłych pokoleń i to niedalekich, będzie zatraconym.

Z dawnych wspomnień o tych zwierzętach, jakie w dyplomach i dziejach znajdujemy, niepodobna się czegoś pewnego dowiedzieć; są tam tylko chaotycznie pomieszane nazwy, a opisów zwierzęcia niema. To też wiedzieć nie można, o jakiem zwierzęciu może być mowa. Do takich należy także wzmianka cudzoziemca Guiliberta de Launoy *(voyages et ambasades* 1399—1450) opowiadającego, iż widział między innymi w zwierzyńcu w Trokach: byki dzikie, zwane żubry.

Dopiero wiek 16-sty wprowadza niejakie światło w tę ciemną kwestyę. Pierwszym, który widząc w roku 1517 w zwierzyńcu trockim żubry, dodał już wówczas, że je „inni turami a Niemcy *Auerochs* zowią“ był poseł cesarza Maksymiliana, Zygmunt Herbersztein. Odróżnił on je podczas swej drugiej podróży przez Polskę, tj. w r. 1526, już jako poseł cesarza Karola V. Oba bowiem rodzaje zwierząt miał sposobność widzieć na polowaniach dworskich, niemniej otrzymał w darze od króla polskiego tura, którego właśnie strzelcy królewscy zabili.

Podczas gdy Herbersztein *(de rerum moscovitarum comentarii)* opisuje oba odrębne gatunki tych zwierząt, pojawia się w Krakowie niewielkie dziełko Husowiana 1523 *de bisonte et ejus venatione,* w którem znajduje się w wierszach opis bezsprzecznie żubra, dziwnie podobny do tego, jaki spotykamy u Pliniusza (Hist. nat L. VII. 15), a który w mniej więcej dosłownym przekładzie tak brzmi:

„Dzikie to i nadzwyczaj srogie zwierzę wyrasta w lasach litewskich i dochodzi do tak ogromnych rozmiarów ciała, iż pomiędzy rogami pokonanego, trzech ludzi miejsce do siedzenia znajduje. Straszna broda spływa w szeroko wiszących kudłach, oczy pełne grozy, ogniem i wściekłością pałają, a grzywa spływa po szyi na boki, kryje czoło i piersi aż po kolana. Całe ciało przewyższa garb, choć wszystkie zresztą członki przypominają woły“.

W dalszym ciągu tych wierszy przychodzimy do przekonania, iż Husowian nic nie wiedział o drugim gatunku, t. j. o turach; zdawaćby się zatem mogło, że już ich wtenczas na ziemi polskiej nie było, tem bardziej, że autor w dziełku, przypisanym królowej Bonie, jakby z tradycyi tylko wspomina o turach mówiąc: „*Nil fuit, ut veteres tradunt, atrocius uris, quos alit in silvis terra Polona suis*“. I gdy Husowian tylko wspomnienie poświęca turom, jako nieboszczykom, z których jedynie pamięć pozostała — opisuje wspomniany cudzoziemiec Herbersztein tura, na którego własnymi oczyma patrzał, a co więcej dodaje do opisu obu tych gatunków zwierząt także ryciny dla uwidocznienia różnic w kształtach ciała. Jakkolwiek ryciny te odznaczają się nieudolnością swego wieku, to przecież wiadomość w dziele Herbersztcina jest nieocenionej wagi, jest to bowiem pierwsze odróżnienie obu tych zwierząt.

Herbersztein powiada dosłownie: „tur jest już w małej ilości w Polsce, a mieszkańcy dóbr królewskich mają obowiązek utrzymywania go. Tur paruje się z bydłem, żubr zaś nie; rogi u żubra są tak szeroko osadzone, iż pomiędzy nimi jest miejsce na trzech zażywnych mężczyzn do siedzenia“. Próbę taką miał wykonać sam Zygmunt z dwoma podobnej tuszy dworzanami. Pod rycinami obu tych zwierząt znajdują się oryginalne podpisy, jak gdyby facsimilia za siebie mówiące. I tak podobizna żubra powiada: *Bizon sum, Poloni żubr, germani wizent, ignari uri nomen dederunt*, podczas gdy tur chwali się: *Urus sum, Poloni tur, germani auerochs, ignari bizontis nomen dederunt*“.

Cudzoziemcy, przebywający u nas później na dworach królów, dostrzegali również różnic i mówili o żubrach i turach, a mianowicie Rugieri i Comendoni za Zygmunta Augusta, Lipomani za Batorego a Gaelano i Muante za Zygmunta Wazy. Lecz najważniejszą ze wszystkich wskazówek jest przestroga uczonego, a sławnego myśliwego Jana hr. Ostroroga w dziele wydanem w r. 1618, w którem najwyraźniej mówi o odrębnych dwóch zwierza gatunkach i poucza, aby dwóch tych rodzajów zwierząt razem w zwierzyńcach nie utrzymywano, gdyż nie znoszą się nawzajem— a dodać należy, że dzieło to jest uzupełnieniem jakiegoś dawnego, niewiadomego z nazwiska autora.

Poprzednio jeszcze, za Zygmunta Augusta, Andrzej Swięcicki, znakomity znawca ziemi mazowieckiej i jedyny swego czasu jej topograf, wylicza w opisie Mazowsza lasy, w których się te dwa rodzaje zwierząt znajdowały.

Chcąc być zupełnie bezstronnym, naprowadziłem na samym początku świadectwo Husowiana, które zdawałoby się rzeczywiście stwierdzać, iż tura już nie było na ziemi polskiej w czasach historycznych, a przynajmniej, że zaginął on w czasach, skąd tylko tradycya dochodziła. Jednak po naprowadzeniu tak dobitnych świadectw późniejszych, zachodzi niemal prawdopodobieństwo, iż Husowianus, obejmując mianem bizonta oba istniające rodzaje, których różnic nie dostrzegał, opisał straszniejszego z nich i potężniejszego t. j. żubra, a wspominał o „turze“ jako o jakiemś zwierzęciu bajecznem, pod mianem którego nie wiedzieć jakie rozumiano zwierze według pojęcia dzisiejszego. Wszak owe zwierzęta bajeczne najczęściej nosiły tylko na sobie lekką ozdobę fantazyi, a w rzeczywistości bajki owe powstawały na realnych podstawach. Ów zatem „urus“ a nie „thurus“ Hussowiana mógł być rzeczywiście zwierzęciem, o którem on mówi: *tale animal nunquam visum est, nisi forsitan ante dyluvium*, pod którym naturalnie potop biblijny rozumie.

Podania naszych historyków, mówiące o turach, przeważnie odnoszą się do ziem mazowieckich i rzecz dziwna, iż w podaniach nawet tych, którzy w innych miejscach mieszają i bałamucą nazwy, panuje przeważnie zgodność co do nazwy zwierzęcia, zamieszkującego lasy mazowieckie. Długosz wspomina o tych puszczach, w których w latach 1410, 1422, 1434 polował Jagiełło: *venationes taurorum silvestrium, qui in polonico Thuri apellantur agebat*, a Kromer w połowie XVI. wieku pisze: „*Uri, hoc est boves silvestres, quos turos dicimus, in solis Masovitis silvis apud Wyskitkos cxstant*“; wspomniany zaś Święcicki, opisując puszcze Mszczonowa koło Belemowa w ziemi Sochaczewskiej, powiada, że „*Hic jam oritur famosa silva urorum in orbe nostro clara* (tu się zaczyna las, turów pobytem sławny na naszej ziemi). Zgodność nazw pierwszorzędnych autorów rozmaitych czasów co do tych zwierząt, zamieszkujących puszcze mazowieckie, psuje nieco podanie Sarnickiego współczesnego Batoremu. Mówi on w swej historyi o Mazowszu: *ubi sunt nobiles Bisontum venationes.* Lecz marzycielskiemu autorowi, wyprowadzającemu od jakiegoś Asarmota nasz początek, darować możemy zabłąkanie się w kniejach mazowieckich i w tychże przyrodzie, zwłaszcza, że były to czasy, w których z pewnem lekceważeniem traktowano wiedzę przyrodniczą, a być także może, iż oprócz turów przebywały i żubry w owych stronach.

Gdybyśmy nawet do przytoczonych w końcu podań nie przywiązywali wielkiej wagi, kładąc je na karb synonimiki, choć w tym wypadku dziwnie jednostronnej, to przedtem naprowadzone świadectwo Herbersztcina, Święcickiego i Ostroroga muszą nas poniekąd upewnić, że jeszcze w 16-ym wieku tura utrzymywano po zwierzyńcach, i że zamieszkiwał on w stanie dzikim knieje mazowieckie.

Lustracye dóbr królewskich, w których tury przebywały, a współczesne wojewodzie Ostrorogowi, niemniej ówczesne edykta królewskie, mające na celu ochronę widocznie zamierającego zwierza, mówią zawsze tylko o turach, przez co najniezawodniej owego *bos primigenius* rozumieją, w przeciwnym bowiem razie autor dzieła myśliwskiego, mąż znany z uczoności i wielki dostojnik w urzędzie, który tak dobitnie tura od żubra rozróżniał, zwróciłby był z pewnością swą uwagę na błąd w nazwach popełniany, jednak ani myślał o tem, aby ktoś mógł taki barbaryzm popełnić.

Barbaryzmu takiego byłby z pewnością nie przepuścił w swem dziele ów wojewoda, który wypowiedział: „Ktokolwiek nie kochał się w polowaniu, wpadał, że jest servilis, jako kupiec abo lichwiarz, abo człowiek podły, który się bez żyły szlacheckiej urodził“.

Lustracya dóbr koronnych Jaktorów nad Tuczną w ziemi Sochaczewskiej, wspomina w r. 1533 o obecności turów w puszczy tamtejszej, których włościanie sianem zbieranem w puszczy tamtejszej żywić mieli obowiązek. Wyrok króla Zygmunta III. w r. 1597, zatem współczesny wojewodzie Ostrorogowi, opiewa: „Skazujemy, aby poddani wsi pomienionej, tam gdzie turowie bywają i pastwiska swoje albo stanowiska mają, bydła swego nie ganiali, a traw na pożytek swój nie kosili ani obracali, gdyż ta wieś nie tak dalece dla dobytków ich, jako dla turów i takiego zwierza wczasu jest posadzona i wolnościami obdarzona. Starosta Sochaczewski ma tego przestrzegać, jakoby puszcza nasza, gdzie tur przebywa, od poddanych przerzeczonych pustoszoną nie była, żeby turowie, zwierz nasz, mieli swe dawne stanowiska“.

Wyraźnie edykt ten królewski wywołanym został obawą szybkiej zatraty turów, bo lustracya tych dóbr w 1599 znajduje: „Turów więcej niemasz wszystkich tylko 24 z młodymi. Kiedyśmy pytali łowców, co za przyczyna, że ich mało, powiedzieli, że częścią zabijają się sami, częścią ich nie mało pozdychało przeszłej zimy“.

Nie pomogły zatem i edykta królewskie — tur zbliżał się do zupełnej zatraty.

Lustratorowie w r. 1620 podają lakoniczną wiadomość: „znaleźliśmy w puszczy Jaktorowskiej już tylko jedną turzycę“, t. j. w owej puszczy, którą Święcicki nazywał niedawno jeszcze *Hectorea silva* (zmienione *haec turea silva)*, a był to topograf doskonale obznajomiony z fauną współczesną mazowieckich lasów.

Z historycznych wspomnień o turach, jakie tutaj naprowadziłem, przekonujemy się, że Mazowsze, a w tymże specyalnie ziemia Sochaczewska, były ulubionem siedliskiem tura, i w tej ziemi przetrwał on najdłużej, bo do początku 17. wieku, jakkolwiek podtrzymywany już tylko opieką łowieckiej administracyi dóbr koronnych. Owa turzyca z r. 1620 w puszczy Jaktorowskiej była prawdopodobnie ostatnią z rodu na ziemi polskiej, a może i ostatnią na kuli ziemskiej.

Szczególna troskliwość w administracyi dóbr Jaktorowskich, wysyłanie częstych lustracyj, które się tak żywo zwierzostanem turów zajmowały, niemniej wyż przytoczony edykt wskazuje aż nadto, że zwierz ten poczynał być rzadkością nawet na Mazowszu. Starano się go tedy podtrzymać troskliwą opieką, jednak pozostało i to bez skutku; zaginął tur, bo zaginąć musiał jak wiele zwierząt zaginęło w kolei wieków. O jednych zaginęła tradycya istnienia, inne żyją w fantastycznie strojnych obrazach w pamięci ludu, a tur, zaginąwszy już w późnej epoce historycznej, nie znajduje się jeszcze w tej perspektywicznej dali, która do fantastycznych obrazków usposabia, zacierając w mglistej przeszłości znamiona prawdziwe. Zresztą zwierz ten, pozostawiwszy po sobie pamiątkę, bo stał się, jeżeli nie protoplastą to ważnym czynnikiem w wytworzeniu się bydła domowego, a nie przedstawiając bynajmniej jakichś niezwykłych kształtów, utonął w niepamięci ludzi, których otaczały stada jego udomowionych pobratymców. Gdyby nasz dzisiejszy dzik zaginął był w wiekach średnich, gdzie mało kto interesował się przyrodą i gdzie jeszcze mniej o niej pisano, to niezawodnie w wiekach naszych trwałaby dotąd polemika o istnieniu dzika w historycznych czasach, i nikogo by przekonać nie mogły nasze świnki, że istniał jakiś ich dziki protoplasta w historycznych czasach Europy. Dzięki jednak wiekowi 19-mu ludzkość przyszłości, może w 23-im lub 24-ym wieku, nie będzie sobie łamać głowy nad istnieniem dzika w wieku 19-ym, podobnie jak my sobie łamiemy głowy nad istnieniem lub nieistnieniem tura w 16-ym wieku.

Domyślam się, iż raptowne zniknięcie turów, które i tak już były na wymarciu, przyspieszyła jeszcze okoliczność, iż zwierz ten łączył się z bydłem domowem, a cielęta prawdopodobnie godziły się w zupełności ze stanem udomowienia. Włościanin puszczy niezawodnie z wrodzoną sobie cierpliwością podpatrywał chwilę, w której udać mu się mogło podchwycenie cielęcia turzego i przysadzał je do zwykłej swej krowy. W ten sposób podwójną drogą płynęła krew tura, i pod oszczepami łowców i w stada bydła włościańskiego tych okolic, w których tury zamieszkiwały. Z czasem wytworzyć się tam mogła rasa bydła, która uderzająco jest zbliżona w kształtach do nieudolnego rysunku Herbersztejna, rasa, nosząca na sobie niezawodne cechy swego pochodzenia. W powiatach Łosickim, w dawniejszem województwie Podlaskiem na Mazowszu, w pow. Łowickim, Łowczyńskim, Siennickim a wreszcie w województwie Sandomierskiem, w powiatach Kieleckim i Opatowskim, znajduje się tego rodzaju bydło, a komisya byłego Towarzystwa rolniczego dla król. Polskiego uznała w r. 1860 bydło to jako odrębną rasę, mianując ją rasą świętokrzyską. Ważny to dowód, iż w wytwarzaniu się naszego bydła domowego wielką, jeżeli nie wyłączną rolę odgrywał tur, i że w miejscowościach tych musiał do późna trwać wpływ tura na ciałotwór bydła domowego, jeżeli tam tak wybitne znamiona pochodzenia turzego się znachodzą. W innych krajach czas i wpływ hodowli zatarł już wiele cech pierwiastkowych, i tylko bydło holsztyńskie nosi na sobie wybitne cechy turzego pochodzenia.

Rozmaite szkielety turów, jakie się znachodzą po muzeach, udowadniają, iż w przedhistorycznych czasach istniało kilka odmian turów; niemniej istnieją tam szkielety żubrów dyluwialnych *(Bison priscus)*, które jednak musiały być tą samą odmianą, jaka do dziś dnia jeszcze w znacznie zdegenerowanych kształtach istnieje. Tur Herbersztejna jest jednak wcale inny, osobliwie w osadzie i kształcie rogów od tura, jakiego znaleziono przed 40 laty, 20 stóp pod powierzchnią ziemi na Pomorzu, gdyż rogi są tu niemal poziomo osadzone, a końce raptem ku środkowi i dołowi się zawracają. Głowa ta znajduje się w muzeum uniwersytetu Greifswaldzkiego (Gryfija) i przypomina układem rogów rasę fryzyjską. Wcale już różni się od innych szkielet t. zw. *B s* albo *Bubalus Palasii*, znaleziony niedawno w okolicach Gdańska, a opisany przez słynnego Baera.

Nie mogąc się zapuszczać na dalekie te pola, przypomniałem tu tylko nawiasowo kilka odmian turów, z których najprawdopodobniej każda dołożyła swoją cegiełkę do

wytworzenia się rozmaitych ras bydła domowego. Niezawodnie odmiany te miały odrębne swe strefy klimatyczne i w rozmaitych czasach zniknęły z powierzchni ziemi, albo utrzymały się jeszcze aż do historycznych czasów w parkach umyślnie na ten cel urządzonych, jak to miało miejsce w Anglii, gdzie w wiekach średnich dzikie woły (prawdopodobnie tury) miały niepokoić leśne okolice Londynu. W r. 1260 zamknięto bydło to w Charly w Staffordshire, a podczas reformacyi już go nigdzie na wolnej stopie nie było. Po dziś dzień utrzymują się owe parki *(white forest breed)* w Anglii (Chilingham koło Berwick) i w Szkocyi (Cadrow koło Hamiltonu w Lanarkshire), a bydło zachodniej wyżyny szkockiej nosi na sobie wybitne cechy turzego pochodzenia. (C. d. n.)

„Bida i w chati znajde“.

Rysunek z natury.

Dawno już mrok zapadł, a choć porą jesienną lud wiejski najdłużej wieczór się krząta, wszyscy niemal mieszkańcy wsi Gusztyna, po późnej wieczerzy udali się już na spoczynek.

Ze wsi jednak rozchodzi się odgłos dziwnego gwaru. To wesele u pierwszego „bohacza“ Mykoły, na którym biesiaduje wybrana gromadka chłopów. Po wieczerzy wyprawiono muzykantów na podwórze, by swobodniej młodzież hulała, nie uszczuplając starszyznie miejsca w chałupie, a do tańca przygrywa cała orkiestra wiejska, skrzypce, bas i „reszitko“, znany na Podolu instrument muzyczny. Nosi on bardzo odpowiednią nazwę, gdyż jest całkiem podobny do rzeszota. Na silnej „obyczajce“ naciągnięta barania skóra, a w około ponawiszane dzwonki, rzechotki i różne blaszki. Wszystko to bębni, dzwoni, brzęczy, wywołując dzikie tony i pobudzając do akompaniamentu wszystkie psy we wsi.

To też przy śpiewie rozochoconych parobków, i donośnych krzyków rozochoconych dziewek, rozchodzi się echo milami wśród spokojnej nocy jesiennej, wywołując zazdrość parobków, nocujących z końmi w polu.

W całym Gusztynie światła już nie widać, prócz u wyprawiającego wesele „Mykoły“ i tuż obok w sąsiedztwie o trzecią chałupę. Chata to mała, może najmniejsza we wsi, a właściciel jej, nazwiskiem Derkacz, trudni się podwójnem rzemiosłem, w lecie tkacz, w jesieni i zimie szewc. Toż w szczupłej izbie zabiera miejsce warstat tkacki i zwykły warstat szewski, szeroka ława pod oknem, na której obecnie, przy małem światełku zajęty Derkacz robotą, a żona jego Maryna, ziewając, przędzie nić na dratwę.

— Ot, lehaj spaty, stanesz do świta taj skinczysz tije czoboty, wże deś i piwnicz bude — ozwała się Maryna przecierając senne oczy.

— Zara, zara — mruknął Derkacz — ałe ktoś tu ide, pewno Jaśko. Musiw wże roznesty czoboty Waselewi, a ty każesz lehaty. Oj, tra bude do rana szyty, bo ne wstupyt sia z chaty.

Wtem zaskrzypiały drzwi i w pół pochylony wszedł znany we wsi Władysław, były kucharz, a obecnie kłusownik jakich mało, z powiązaną drutami pojedynką na ramieniu.

— Daj Boże szczaścia — rzekł wchodząc.

— Daj Boże, diekuju! — odrzekł szewc — a to wy pewno z wesila panie Adysłau.

— Ej de tam, ja sobi tak chodyw...

— Aha — mruknął Derkacz znacząco, domyśliwszy się, że Władysław wraca z wyprawy kłusowniczej.

— Możebyśte naprawyły meni czobit. Stawjem na jakuś trisku, ot tu, w ułyci, taj rozder sia — rzecze Adysłau siadając na ławce obok szewca.

— Aha, na trisku — rzekł szewc z uśmiechem — ot, skazałybyśte: na peniok w lisi.

— Ta to i tak buwaje... No ałe Jaśku, woźmit dratwu, bo nemaju czisu chodyty...

— Ta możeśte prynesły jaki kawalczik kozy, tobyśmo pekły — zagadnęła Maryna.

W odpowiedź Władysław kiwnął lekceważąco ręką.

— Nu, Jaśku, pryszczepnit mij czobit — rzecze, trzymając sporego kalibru pojedynkę na kolanach.

— No, dobre! Skieńte.

Władysław położył pojedynkę na ławie obok szewca i jął zdejmywać but, — szewc tymczasem sięgnął po strzelbę i zaczął się jej bliżej przepatrywać.

— Ej, to to musyt dobre byty!

— Ho, ho! — odpowiedział Władysław.

— To z jakohoś gwera. Czy to ta, szczo wam w Skałeczczyni zabrały?

— Ej de tam czełowicze! tamta buła dubeltiwka.

— No i propała.

— O! jak pes w jarmarok.

— Ałeśte szcze i posydiły trocha.

— E, e! — urwał Władysław niechętnie; znać nieprzyjemne było to dla niego wspomnienie.

Derkacz, przypatrując się ciągle strzelbie, mówił dalej:

— Toj Puszkarewycz a Zagrobelski to to psy! Wże nema jak toj horbaty, jak win sia sterich, a takoj ho w liszczyni spijmały i propała dubeltiwka, szczoś 50 rymskich kosztowała. A szczo ho sia nabyły, to takoż propało. No, ałe ja czuw, szczo i wam nemało nakidały.

— Ej detam — odparł Władysław — szczoś my raz toj złodijaka szturknuw jakimyś patykom...

Maryna, kręcąc dratwę, wmięszała się do rozmowy:

— Ej, szczo wy każete, panie Adysłau, wony by was tak na sucho pustyły?

— Bih me, że pustyły.

— A nam opowidaw Jaśko Grybiw, szczo wydiw na oczy, jak was były.

— A szczoby tam Jaśko robyw? Taj win bresze.

Ale Maryna kręciła głową i uśmiechała się, jakby pokazując, że ona wie o wszystkiem lepiej.

Tymczasem Władysław oczyścił but z błota, Maryna ukręciła dratwę, szewc zaś, opatrując strzelbę, zbliżył rękę aż do kurka i — cenk! odciągnął kurek.

— Szczo robyte! Strilba nabyta — ozwał się Władysław, a sięgnąwszy jedną reką po strzelbę, drugą wpakował w niespokojne ręce szewca but rozdarty. Lecz wtem, czyto podkową, czy może wysterczającym gwoździem tak szewcowi rękę skaleczył, że tenże, jąwszy się za skaleczoną rękę „Ojoj!" przerażonym głosem zawołał.

— Oj! uże ja nehoden neńka szyty! — powtarzał kołysząc się na stołku.

— Ta szczo tobi takoho? — ozwała się Maryna porzucając kądziel i stając obok kiwającego się i cmoktającego z bolu męża.

Ozwał się i Władysław: — Szczo tam? — i w tej chwili spuszcza odciągnięty kurek... Strzelba wypala, — światło gaśnie, — okno brzękło, szewc przewraca się w stronę okna i tłucze głową szybki, baba pada na ziemię.

Straszna chwila zapanowała w chałupie. Władysław zerwał się na równe nogi, nadsłuchując, czy które z szewców nie da znaku życia.

— Oj, mamuńciu! — wyjękła po długiej ciszy baba, leżąca na ziemi.

— Zabyw tebe Maryno — dał się słyszeć głos szewca z nadworu, gdyż wybiwszy sobą okno, nie miał jeszcze siły i odwagi cofnąć głowę do chałupy.

— Oj mamuńciu moja ridnaja, ratujte! — wyjękła słabym głosem biedna Maryna.

Oprzytomniał Władysław; dobył zapałków, rozświecił zagasłą lampkę i struchlał na nowo spojrzawszy przed siebie.

Szewc, odzyskawszy siły, cofnął się z nadworu, i z pokrwawioną strasznie twarzą siedział na stołku, a nie ruszając się z niego i patrząc na leżącą żonę, z boleścią powtarzał:

— Zabyw tebe taj mene! Oj wstań, wstań Maryno!

— Oj, mamuńciu, mamuńciu — od czasu do czasu jęczała Maryna, nie mogąc podnieść się z ziemi.

Tymczasem Władysław przychodził do co raz większej przytomności i jął podnosić Marynę, a że była tęgiej tuszy, nie łatwo mu to przyszło. Z ciężką biedą zwlókł kobietę na nogi i ażeby się przekonać, czy z niej co będzie, postawił ją o własnej sile odstąpiwszy od niej.

— Kahu, kahu, kahu! — zakrztusiła się kobieta napełnionym w chałupie dymem i padła na ziemię.

— Zabyw tebe Maryno! — zawołał z boleścią szewc, zlazł z ławy i jęli już obydwaj ratować Marynę, która, kaszląc i krztusząc się, coraz więcej znaków życia dawała. Podnieśli na końcu babę i posadzili na ławie obok kądzieli.

— Joj, mamuńciu! zabyw tebe taj mene! — wyjękła Maryna, ujrzawszy okrwawionego męża.

I tak sporo czasu w wielkiej trwodze i pomięszaniu minęło, a przez wybite okno dolatywał swobodniej głos basów i reszitki, jakby urągając z ich przygody.

Maryna, szewc i Władysław, oglądnąwszy siebie i wszystko w około w chałupie, przekonali się, że nabój grubego śrutu i siekańców ugodził w nową czapkę szewca, wiszącą na warsztacie tkackim i w obraz św. Mikołaja, wiszący na ścianie, Maryna zaś, padając, stłukła sobie głowę niemiłosiernie o krawędź ławki, a szewc podrapał twarz i czoło odłamkami wybitej szyby.

Z całego towarzystwa najszczęśliwszym czuł się teraz Władysław. Nie sprzeczając się długo, czy szewc winien tej przygodzie, bo nie powinien był ruszać strzelby, czy też twierdzeniom szewca, że „Adysłau striływ" — sięgnął po sporą burkutówkę, stojącą na półce i z słowami „ja zara wernusia", wybiegł z chałupy, zostawiając strzelbę i nakazując, by jej nie ruszali. Po chwili wrócił, niosąc pełną burkutówkę wódki. Zastał Marynę krzątającą się po chałupie, a w chwili gdy zamykał drzwi, Maryna uspakajająco do męża mówiła:

— Ot, bida i w chati najde! Szczosz robyty? Propało! Dobre że i tak sia skińczyło.

Szewc spoglądał na burkutówkę, stęknął od niechcenia, Maryna zaś jąwszy się rękami za brzuch rzekła:

— Jakaś mene hryź napała.

— To nic — ozwał się Władysław — napiete sia horiwki, taj perestane.

Oczywista zaczął się traktament, poprawiły się humory, i wzrastało ożywienie w miarę, jak w burkutówce wódki ubywało.

„Adysłau" stał się bardzo mownym. Opowiadał o różnych przygodach, a gdy już brakło nowin, ozwała się Maryna:

— Ta to wsio dobre, meni hołowa rozbyta, czełowik takij pokaliczenyj, ta by to wse jakoś wijszło — ałe my majemo takoj wełyku szkodu. Szapku taj obraz dopirośmo kupyły na praznyku w Wołkiwciach za ostatnyj grajcar, a wikno także hroszi kosztuje... A de tu ich wziety, koły nema.

Posypały się obietnice i Władysław zobowiązał się odszkodować za wszystko—gdy będzie miał pieniądze, zapewniając, że on „takij czełowik, że czużoho ne chocze".

Od czasu do czasu szewc pomrukiwał pod nosem, a rezolutna Maryna coraz odważniej niedowierzanie swoje wygłaszała, ubolewając to nad głową, to nad czapką i Mikołajem.

Władysław wychylił jeszcze jedno zdrowie w ręce Maryny, a że już niewiele we flaszce było, postawił flaszkę na półkę mówiąc: „Ot szcze troszku na rano bude" — zauważył bowiem, że im więcej kieliszków wychylono, tem rezolutniejszą była Maryna i tem więcej głowa, czapka i Mikołaj ją bolały.

— Znajete Jaśku, szczo to wże dalij ranok bude; ja wże pijdu, a zautra pryjdu, taj meni czobit naprawyte.

To mówiąc Władysław, zaciągnął podarty but, zawiesił strzelbę na plecy, a życząc dobrej nocy, miał się już oddalić.

Szewc sięgnął po flaszkę i zaproponował jeszcze jeden na drogę. Chętnie przyjął Władysław propozycyę. Nie siadając, wychylono jeszcze jedno kółko.

— Zabudte szcze raz, zabudte Maryno — uspokajał tyrkotliwą babę — ja za szkodu zapłaczu, a hołowa do zautra perestane bołyty. Ej, szczo tam! Szcze ne wełyki riczy trocha sobi hołowu rozbyty. Abo to meni tak buwało! Koby wy znały, jak to mene toj drabuha nabywsia, taj szcze cału nicz po lisi wodyw, wżem myśliw, szczo meni ciłkom zdorowie widbere, taj niczo sia ne stało; za kilka deń postarawjem sia strilbu, taj piszow znowu w lis.

— Tabo wid was nikto sia prawdy nie dowidaje — zawołała Maryna — dopirośte kazały, szczo was ne były.

— Nu kazaujem, ałe wże wam muszu prawdu skazaty.

I siadając na ławie, jał Władysław opowiadać szczegółowo swą przeprawę z leśnymi.

— Ja znau — prawi — szczo bude złe i anim hatki ne mau toho dnia ity, ałe pryjszow Rauluk, taj wytichnuw mene. Ja mu kazau, szczo meni sia duże ne chocze ity, ale jak sia mene uczypyu, taj ja piszou. Wejszłyśmo w lis, deś buło koło piwnoczy — temno buło, misiać piźno schodyu — taj każu do nioho: „Ne strilaj pusto, wyczekaj, aż błysko pryjde, a na zajacia ne łakomysi; idy dalij, tam deś jakuś steszku znajdesz, taj stań, a ja pijdu trocha na dołynu.

A pamiataj, ne roby pusto stukotu!“ Taj roziszłyśmosia. Staujem sobi w korczach, taj nezabawki zaczaw misiać schodyty, koły ja sia dywju, jakieś zajaczysko sztyhulkaje. „Idy, idy do czortoji mamy!“ podumaujem sobi, i ani my na hatci striłyty w neho, ałe to ditko ne zając, krutyt taj krutyt sia koło mene; szczo pijde, to znowu werne koło mene. „Ej, myślu sobi. tu niczoho jenszoho ne bude, tra pijty dalij, ałe toho kucoho tra potihnuty.“ Taj za rusznyciu i buch! — a ta psiakrou potiehnuła sia w korczi. Hadaju sobi: „Ta szkoda ho łyszyty, win dałeko ne piszou“ Postojawjem z kwandranc hodyny, poohledawjem sia na dokoła, taj piszowjem w korczi poszukaty zajacia. Szełep, szełep, po korczach — nema — splunowjem na bidu, taj lizu na kraj, — no, i wlizem samochotiaczy tomu drabowy w ruku, deś ho ditko nadnis... Tfu! Hodi buło wże wtikaty! Nu, szczoż robyty. Buwbym ja sia z nym spribowaw, ałe ino sia hamor meży namy stau, dywlu sia, wże ditko nese i druhoho, toho douhonohoho złodijakę Wasyla. O, hadaju sobi, wże bude bida. „Dawaj strilbu!“ Szczoż robyty, daju strilbu. „De koza?“ Każu prawdu, szczo strilawjem do zajacia, ałe piszou. „Breszesz! Schowawjeś w korczi!“ Ja sia bożu szczo ni, — a win bje. Nu, tra terpyty, ałe win bje hodi wże wytrymaty. Taj każu: „Bij sia Boha, daruj żytie, ta chody w korczi, taj budesz wydiw, szczo nema!“ Taj wodiat mene po korczach, taj wse: „De koza? de koza? Schowawjeś, taj schowawjeś!“ taj bjut taj bjut hodi wytrymaty. Na syłu wylizły my z korcziw, zwiazały meni ruki, taj pokłały sia koło mene — czekajut dnia, szczo takoj kozu w korczach znajdut. Stało rozwydnyty, taj każe: „Stawaj!“ i znowu: „De koza?“ „Boh by tebe pobyw z twoją kozą — pohadawjem sobi — Ta ludy dobri, ta wże deń, ta dywidsia w korczach, tabyśty wże hołku najszły!“ Tiehajut mene znowu po korczach, a ja wże ino-ino szczo idu. Kozy jak ne buło tak nema. Wedut mene do Zagrobelskoho... Kobito, jak toj mene wziaw, jak sia staw zo mnoju tiszyty taj wytaty, — to bodaj mu Boh ne zabuw! Taj znowu mene wedut w korczi: „Szukaj kozy!“ Oj hołowko moja — myślu sobi — wże treba tu zahynuty! Koby choć jaku zdochłu najty — detam, taki nema, bo de sia woźme? Nakineć wedut mene do toho borodatoho, a win łeżaw szcze w łóżku. Łyszyły mene w siniach z pobereżnykamy, a Zagrobelski piszow meldowaty. Jak poczuw, mamuńciu moja, jak ne skoczyt: „A de win? Dawaj ho siuda!“ Wedut mene, a ja sobi myślu: „Oj bude bida, koły sia mnoju tak tiszyt“, ałe jak uwydiw, szczo mene wże dobre nabyły, taj każe: „Zamknąć tego złodzieja do wozowni i oddać go żandarmom!“ Poweły mene czerez stajniu, taj pustyły do wozowni. Ja sedżu taj sedżu, nema tych szandarów koby mene wzieły; możeby mene wże łeksze buło! Nareszci czuju, szczo pobereżnykiw wże nema, firman witworyw dwery z wozowni do stajni a z stajni na dwir, dweri takoż witworenyi, ałe ja sedżu. Firman sia krutyt, taj pryjszow do mene, zaczow szczoś howoryty, taj każe do mene: „Pisław pobereżnyka po szandara.“ „Ta naj tam!“ każu. „Wtikajte!“ każe win do mene. „He? każu, szczobyś mene zwiw“. „Ne, prysiaj Bohu, tudy bez stajniu, taj poza płit, ne bude wydiw.“ Hadaju sobi, може win i prawdu howoryt, taj każu do nieho: „Michał, ja tobi toho ne zabudu, ałe jak ty mene choczes zwesty, dywysia, ja wże i tak dosyt maju z sebe“. Ałe win sia zabożyw, szczo dobre meni radyt. Taj ja wychyływ hołowu z stajni, taj wydżu szczo nykoho ne wytko, taj bez płit i w lis piszow. — No, ałe znajete, szczo ja wsio po durnomu zrobyw, bo meni ne treba buło wtikaty. Najby mene buły widstawyły do sudu, a jakby sud mene buw takoho pobaczyw, buwby sud sam prykłykaw doktora i zrobyw raszport. No buwbym i ja szczoś posydiw, ałe i ony bułyby distałysia do kryminału.

— Ej howorit! Szczoby wy im buły zrobyły? — rzekła Maryna.

— Wże ja dobre znaju, szczo ja howoru, taj szczoby ja im buw zrobyw. Ho, ho, to wsio buła sztuka. Znaju ja znaju! Ałe wże propało...

— Szczo propało?

— Ta propała strilba, a ja potomu szcze dwi nedili w hareszcie posydiw. Użem wam wsiu prawdu wyspiwau; dajte no szcze kieliszok horiwki, ałe tak na prychapci, bo wże dali i deń bude.

Wychylono jeszcze jedno kółko. Władysław obtarł gębę. „Buwajte zdorowi!“ — wychodzi z chałupy, a szewc, kołysząc się na nogach, po zwyczaju wyprowadza gościa. Zaskrzypiały ciężkie drzwi od sieni, przebudzony kogut na strychu zatrzepał skrzydłami i zapiał na dzień dobry.

— Pek tobi bido! Szcze jakaś bida bude — zauważyła Maryna — bo jak win poroh perestupyw, toj kohut nad nym zapijaw. Jeho pewno skortyt wstupyty na wesile, taj koby ho tam dobre nabyły.

— Ne bij sia durna, niczo mu ne bude.

— Oj, ne znaju kto durnyj, czy ja czy ty. Pokaliczyw i mene i tebe, tylko szkody narobyw, skazał jakuś bajku jak durnomu, taj piszow. Taj ne tra to durnoho, szczoby wypustyw tak z chaty? Budesz ty widiw grajcar wid nioho, taj szapku! Ta kobyś sia buw choć widozwaw. Oj szczo chłop, to durny! A desz bym ja jeho buła tak pustyła!

— Nu, to czomuś ho sobi ne trymała; abo ja tobi boronyw?

Wszczęła się sprzeczka w chałupie szewca, nie długo jednak trwała; szewc wiedział, że baby nie przegada, zdmuchnął lampkę i rzekł: „Lehaj spaty!“

Maryna jeszcze trochę stękała, trochę tyrkotała, ale jak to zwykle bywa „przeszła noc, pogodziła ludzi moc.“ Rano powstawali zapomniawszy o wszystkiem.

Szewc jął się roboty, a Maryna gotując obiad, z zawiązaną głową, od czasu do czasu to stękała to położyła się na chwilkę. I szewcowi nie szła robota jak zwykle, pełno skaleczeń na twarzy, a najwięcej przeszkadza mu skaleczona ręka i obrzękłe oko, na które prawie nie widzi. Siedząc na swym warstacie przed oknem, robi jak może.

Gromadka kur, jedyny dobytek Maryny, z ciekawym na czele pięknie upierzonym kogutem, faworytem Maryny, dojadała resztki z objadu szewców pozostałej kuleszy, którą dbała o swą chodobę Maryna codziennie na wązkim dziedzińcu przed oknem im podawała.

Wtem kogut się odezwał, kury zawtórowały, i wszczął się popłoch między nimi. Zajrzał szewc przez okno, zerwał się z swego warstatu, biegnąc co tchu na dwór. Zanim doleciały go słowa leżącej Maryny: „Oj pewno tam jastrub meże kurmy“ — szewc już był na dworze, biegnąc co tchu do małego chlewka, a dopadłszy drzwi, zamknął je.

Jastrząb za uciekającymi kurami zapędził się aż do chlewka.

— Maju tebe ptaszku — zawołał z uciechą szewc. Ostrożnie otworzył drzwi, wsunął się do chlewka i złapał psotnika, na którym niejedną kurę miał już do powetowania.

Z jastrzębiem w ręku wszedł szewc do chałupy, co zobaczywszy Maryna zerwała się z łóżka na równe nogi.

— A ty jak ho złapaw? Ta to win toj samyj, szczo w sobotu wziew moju sywu mołoduszku! Ta ja wid toji pory jajeć ne maju.

Zaczęła się narada w chałupie, co zrobić z jastrzębiem.

— Wtny pesi wiri hołowu na porozi — doradzała stanowczo Maryna.

Szewc kiwał głową, dumał, i postanowił zanieść jastrzębia do dworu, obiecując Marynie, że guldena za niego przyniesie.

— Idy, idy durnyj! Ktoby tobi ryńskij daw za jastruba! Wypustiat jastruba, taj budesz maw figu, a tak byś sobi dobre pojiw na weczeru. Takij tłustyj... Abo to win jednu kurku zjiw? Wtny pesi wiri hołowu!“

Szewc nie dał się namówić. Zrzucił fartuch, kapelusz wdział na głowę, jastrzębia pod pachę i ruszył z chałupy.

Puścił się wprost ścieżką do dworu, ale uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął, podumał, a zwróciwszy się, przesadził jeden płot i drugi, i podążył ścieżką prosto ku chałupie, gdzie się odbywało wesele. Na podwórzu zastał całą gromadę dziewek i parobków, oczekujących na muzykę, która teraz do obiadu starszyznie w chałupie przygrywała.

— A szczo to nesete Jaśku? — zapytało naraz kilka głosów, jak tylko Derkacz wszedł na podwórze, i już otoczono go ze wszystkich stron.

W jednej chwili posypały się przekleństwa na biednego jeńca. Ilu ich tam były, każdy mu coś zarzucał; ten kurę, tamten koguta, inny gołębi hurmę, a znalazł się i taki, co go wczora widział, jak zająca zabił w polu.

— A to win was Jaśku tak podrapaw? — zapytał znów inny.

Ciśnięto się ze wszystkich stron, a każdy rad poczęstować jastrzębia co najmniej szczutkiem w głowę. Znaleźli się i amatorowie do piór w ogonie, zaczęto skubać jastrzębia i szturkać szewca ze wszystkich stron. Derkacz nie mógł sobie dać rady, a ratując jastrzębia wziął go oburącz i podniósł do góry. Wtem któryś z parobków poczęstował jastrzębia z tyłu w głowę. Jastrząb zakrzyczał, strzepał się silnie, a że go szewc zbyt blisko swej twarzy i piersiami ku sobie zwróconego trzymał, zatopił szpony obu nóg w dolną i górną wargę szewca.

Wyciągnął biedny szewc ręce z jastrzębiem od siebie, chcąc się ze szponów wyswobodzić, ale niema sposobu; jastrząb jeszcze bardziej zamyka szpony przeszywając szewcowi usta na przestrzał.

— Złapaw jastrub Dyrkacza! — ozwało się kilka głosów, i powstał śmiech i rajwach nie do opisania. Wtem jeden ze śmielszych parobków chwyta jastrzębia za głowę i ciągnie. Biedny Derkacz podał się cały, nie wypuszczając jastrzębia z rąk, i przy akompaniamencie śmiechu i wrzawy drepcze na pół skulony za parobkiem, który go w koło podwórza jak w rajtszuli oprowadza. Biedny szewc musiał być posłusznym, przy silnym bowiem bolu zabrakło mu nawet gęby ku obronie.

Na szczęście szewca wmięszała się starszyzna w tę nieprzystojną a bolesną zabawkę i stanęła w obronie znękanego i krwią zbroczonego szewca. Jęto radzić, jakby go uwolnić z fatalnych objęć jastrzębia, bo ptak coraz bardziej ściskał szpony i wszelkie próby wyciągnięcia ich okazały się daremne. Uradzono wreszcie ukręcić głowę jastrzębiowi. Lecz i to nie tak łatwo poszło, bo choć łeb jastrzębi oparł się gdzieś o płot, szpony w konwulsyjnych drganiach nie uwolniły z więzów szewca. Wreszcie dobywano pojedyńczo każdą szponę z ust biednego Derkacza.

Po ukończonej, nie bardzo udatnej operacyi, szewc jął usta w garść i nie mówiąc ani słowa powlókł się do domu.

— Złapaw jastrub Dyrkacza! — zawrzało znowu za nim i śmiech dochodził go jeszcze w chwili, gdy chałupę za sobą zamykał.

— Pek tobi, taj mara bido! — zawołała Maryna, podnosząc się z pościeli na widok zakrwawionego męża. — A tobiż szczo takoho?

Szewc, nie mówiąc słowa, nachylił się nad konewką z wodą i chlupał garścią na zranione usta.

— A jaż tobi ne kazała, durnyj chłope, wtny hołowu na porozi? Ta treba tobi buło, szczoby tobi tak pysok nabyły? Na, majesz rymskij! A tož tobi mało Adysłau nahoworyw, jak bjut za polowanie? Ta koby tia szcze szandaramy wzieły, kołyś takij durnyj. Ja kazała, szczo to ne koneć bidi, bo kohut pijaw, a ty iszow, durnyj! Oś bida taj w chati znajde!

I na tym tyrkocie i chlapaniu wodą po ustach skończyło się polowanie szewskie na jastrzębia.

Antoni Gotwald.

Ptaszki i owady w parlamencie.

(Dokończenie).

Wspomnę tu tylko o kosach, drozdach i szpakach. Ptaki te przybywają do nas około 20. września i zostają mniej więcej do 20. października. Przypuszczam, że gdyby je zupełnie ochraniano, osiedliłoby się w dolinach dolnej Adygi i w sąsiednich dolinach około 20.000 tych ptaków. A wiecie, panowie, jaką szkodę tylko te trzy gatunki ptaków są wstanie wyrządzić? Liczyłbym bardzo skromnie, gdybym ją tylko na 30.000 zł. obliczył — a spostrzeżenia moje w tym względzie oprę na fakcie, który panowie sami łatwo możecie sprawdzić.

Na placu Minorytów, a zatem o paręset kroków od tej Izby, choduję mały ogródek, naokoło pięknym, krytym chodnikiem winogradowym otoczony. Miałem nadzieję zebrać w nim tego roku około 200 kilogramów winogron, ale cóż panowie chcecie? Kilka kosów z Volksgarten'u zaglądnęło tam z końcem września i odkryły mój skarb, a w 10 dni później, gdym na otwarcie Wysokiej Izby z Trentyna przybył, już mi zjadły przeszło 80 kilogramów winogron. A było tylko sześć tych skrzydlatych łotrów! Gdybyście panowie zechcieli mi zrobić tę przyjemność i zwiedzili mój ogródek, zobaczylibyście liczne poobgryzane szypułki jako dowód mego twierdzenia. Otóż chcąc być w porządku z moją piwnicą, musiałem dokupić 80 kilogramów po 30 ct., tak, że kosy z „Volksgarten'u“ kosztują mnie w tym roku 24 zł. w. a.,

do czego jeszcze należy doliczyć 40 ct. za przyniesienie winogron z „Naschmarktu“ do domu. Oświadczam, że sumę tę poświęcę, bez szemrania, poczciwym Wiedeńczykom na utrzymanie kosów w „Volksgartenie“, i że daninę taką w przyszłości także bez szemrania płacić będę — ale byłoby mi to bardzo nieprzyjemnie, gdybym z moich winnic w Trentynie miał znacznie większy trybut płacić bawarskim i pruskim kosom, drozdom i szpakom, albo rosyjskim i szwedzkim ziembom z pól moich, hreczką obsianych! A skoro sześć kosów w dziesięciu dniach tyle dokazać zdołało, cóż za zniszczenie zrządzić może 20.000 kosów, drozdów i szpaków w ciągu całego miesiąca! Jest wszakże nadzieja, że tak źle nigdy nie będzie.

Mam tu broszurę, która niedawno staraniem naszego ministerstwa rolnictwa wydaną została. Idzie w niej o walczenie z mniszką, przyczem tak się autor wyraża: „Wszystkie owadożerne ptaki zasługują na jak największą ochronę, szczególniej zaś w tych okolicach, gdzie mniszka się w lasach rozgospodarowała“. A zaraz dalej: „Pomiędzy owadami należy pewną ilość gatunków do najstraszniejszych wrogów mniszki zaliczyć“. Szczególnym sposobem sławi się tu zatem ważki i rączyce jako najdzielniejszych prześladowców mniszki. Ale chcieć chronić równocześnie i muchy i ptaki, które je łowią, to coś wygląda na owych Egipcyan, którzy oddawali cześć boską krokodylowi, aby szkód nie wyrządzał, ale czcili zarazem i szczura faraonowego, za to, że krokodyle tępił.

Byłoby przecież niedorzecznością ochraniać równocześnie i owce i niedźwiedzia. Staje więc przed nami nieubłagana alternatywa: albo — albo. Albo małe ptaszki, ale zato żadnej rączycy, żadnej ważki, żadnej owadziarki — albo rączyca, ważka i owadziarka, ale żadnych ptaszków.

Brehm nauczył nas, że muchołówka i jej pokrewne chwytają wiele much, komarów i ważek. Ministeryum nie poszło za Brehmem w chwalbie owego tępienia. Naprzód więc Ekscelencyo! Z biernego stanowiska proszę przejść na czynne, proszę wypowiedzieć otwartą wojnę nieprzyjaciołom nowo uznanych klientów. Tym sposobem usuniesz Ekscelencyo wszelkie sprzeczności i uznasz zdobycze praktycznej umiejętności.

A teraz pozwolę sobie naszą sporną kwestyę jeszcze z odmiennego punktu widzenia objaśnić.

Historya mówi, że św. Franciszek Ksawery, nawracając Indyan i występując przeciw ich pijaństwu, zdołał całą swą wymową zaledwo ośmiu mężczyzn od tego strasznego nałogu odwieść, a z kobiet ani jednej. Otóż boję się, czy taki sam los nie spotka również moje wywody.

Tak zwani fachowcy, uczeni książkowi, rządy, a prawdopodobnie i wy, moi panowie, jak dotąd tak i na przyszłość zechcecie tylko ptaki widzieć, ptaków słuchać, ptaki podziwiać. W takich warunkach gotów jestem i ja rzucić do kąta całą praktyczną umiejętność, ignorować potrzeby rolnictwa i zawołać: „Niech żyje coraz większe rozmnażanie ptaków!“

Ale jakże to można osiągnąć?

Moi panowie, ja mam jeden środek całkiem pewny, który ani grosza nie będzie kosztował, i chociaż się wydaje paradoksalny, jest przecież najdzielniejszym. Oto ten środek: „Dajcie swobodę w łowieniu ptaków!“ A nie śmiejcie się panowie z tego wynalazku, bo gotów jestem przekonać was niezwyciężonymi argumentami.

Brehm, mówiąc o ptakach wróblowatych, tak się wyraża: „Ubytek w gronie naszych przyjaciół, nie daje się jeszcze na szczęście spostrzegać“. I w r. 1869 miał on jeszcze racyą. Komu tę zasługę należy przypisać, powiem wkrótce, lecz pozwolę sobie pierwej zauważyć, że w Trentynie czuć znaczny ubytek między tymi ptaszkami, które się nisko gnieżdżą, a przybywszy do nas w kwietniu, przed wrześniem odlatują. Winę tego ubytku — jeśli tu w ogóle o winie może być mowa — przypisać należy tyrolskiemu sejmowi, a względnie rządowi.

Brehm w tomie III. na str. 100, opisując zwyczaje dzierżby (gąsiorka) tak się wyraża: „Dzierżba jest jednym z najokrutniejszych nieprzyjaciół drobnych ptaszków śpiewających. Gdzie tylko para dzierżb się osiedli, giną wszystkie gajówki i śpiewaki leśne. Skutkiem ciągłego niebezpieczeństwa wynoszą się one lub bywają przez dzierżbę zajedzone. Umie ona gniazda sprytnie wyszpiegować, a skoro tylko gniazdo odkryła, porywa jedno pisklę za drugiem“.

Otóż dzierżby przybywają do nas w kwietniu, a we wrześniu już ich nie ma. Za mych młodych lat wolno już było z początkiem sierpnia oddawać się pożytecznemu zajęciu łowienia ptaków, a dzierżby najgorzej przytem wychodziły. Przeszło 40% ptaków, któreśmy w ciągu sierpnia łowili, to były właśnie dzierżby i tym sposobem trzymaliśmy je w ryzach. Lecz dzięki ustawie, która nam nie pozwala przed 15-ym września sieci naszych rozpinać, rozmnożyły się pomienione rabusie ogromnie w ostatnich 20-u latach, i ku chwale umiejętności i rządu naszego, rozpędzają one lub duszą u nas wszystkie inne ptaki śpiewające. Tak zatem, przez nieznajomość praktyki, osiągnięto drogą ustawy właśnie coś przeciwnego jak osiągnąć chciano — bo dzierżby, moi panowie, są o wiele gorsze od wszystkich ptaszników.

Teraz spróbuję wytłumaczyć, dlaczego między wróblami, jakto i Brehm sprawdził, nie widać było jeszcze ubytku w r. 1869. Gdyby to miała być korzyść, to należy ją przypisać ptasznikom. Opisując zwyczaje sojki mówi Brehm: „Sojka jest wedle wszelkich spostrzeżeń najszkaradniejszym niszczycielem gniazd, jakiego nasze lasy wydały. Jest to ptak szkodliwy. W obec człowieka zawsze bardzo ostrożna, a raz spłoszona, nadzwyczaj dzika, zwodzi ona myśliwego i doprowadza go do gniewu tem, że inne zwierzęta przed nim płoszy. Złowienie sojki jest rzeczą przypadku“. A przecież my, ośmieszane ptaszniki, łowimy w nasze „roccoli“ po lasach corocznie 12 do 40 sztuk tych złoczyńców.

Ale to dziecińistwo. Mogę ja się czemś lepszem pochwalić. Brehm w III tomie str. 423 pisze: „Kobuz jest zawsze płochy i ostrożny; sadowi się on na drzewie do snu dopiero wtedy, gdy ciemności nocy zapadną i omija trwożliwie każdego człowieka. W całem jego zachowaniu się znać roztropność. Co najmniej 1095 ptaków staje się corocznie jego łupem“.

Otóż, moi panowie, ten nienasycony a ostrożny rabuś ma w ptasznikach nieubłaganych nieprzyjaciół, a sieci ich stają się jego grobem. Wierzcie mi, nie dadzą się oni kobuzowi za nos wodzić, i jeżeli kobuz, krogulec czy jastrząb koło ich sieci się pojawi, umią go oni zwabić i wyjątkowy to wypadek, jeśli w przeciągu pół godziny nie stanie się taki drapieżca ich łupem. Tego roku, wbrew memu zwyczajowi, a nie dla chwały umiejętności lub dla ochrony rolnictwa, lecz dla naszych wysokich urzędników i aby was, moi panowie, o pożyteczności naszych łowów przekonać, kazałem wszystkim w sieć moją złapanym drapieżcom łby pościnać i oto ich szpony. (Tu pokazuje mowca całą seryę szponów kobuzich i jastrzębich). Są to nogi 27-u drapieżnych ptaków, które się w ostatnim sezonie w sieć moją złapały.

I tu pozwólcie mi panowie zestawić mały rachuneczek. Wedle Brehma każdy z tych rozbójników morduje rocznie conajmniej 1095 drobnych ptasząt — a zatem ni mniej ni więcej tylko 29.565 ptaszkom uratowałem życie moją sztuką ptasznicza. Gdy zaś wedle najszczegółowszych dat wpadło w tym roku 3225 ptaków do mego „roccolo“, więc reszta, tj. 26.340 ptaszków, zostało dzięki temu roccolo uratowanych— *notandum*, że nie wspominam tu już całkiem o tych tysiącach, które przez schwytanie 21 sojek zostały od zniszczenia uratowane.

Mam ja tu w tej skrzyneczce jeszcze dalszą seryę szponów kobuzich i jastrzębich, które należały do ptaków, schwytanych w „roccolo“ jednego z mych przyjaciół — ale że nie mam dokładnej cyfry ptaków, które w temże „roccolo“ podczas ostatniego sezonu złowione zostały — więc nie mogę zestawiać żadnego rachunku. Powiem wszakże w ogólności, że w każdą sieć Trentynu, — między którymi zaledwo trzy lub cztery są tak duże i tak sztucznie urządzone jak moja — chwyta się zwykle po 1500 do 2500 ptaków rocznie, a w tej liczbie 6 do 10-u jastrzębi lub kobuzów. Każde roccolo ratuje zatem około 6000 ptaszków rocznie — i to jest data, której trudno zaprzeczyć.

W przyrodzie jest wszystko porządnie i w miarę porozdzielane. Jak ptaki w powietrzu mają swego jastrzębia, a ryby w wodzie swego szczupaka, czworonogi zaś w lesie swego lisa — tak roślinożerne owady mają swe pasożyty i owady owadożerne, których się stają ofiarami — i tu są granice przyrody. Jeżeli do tej pracy regulatorskiej mieszają się i ptaszki, to głównie na to, aby naszych sprzymierzeńców tępić, z czem zgadza się spostrzeżenie, iż owady roślinożorne rozmnażają sią tam najbardziej, gdzie drobne ptactwo na wiosnę i w jesieni najliczniej się pojawia.

Ustawodawstwo powinnoby zatem do tego dążyć, żeby zbyt wielka ilość drobnego ptactwa była zmniejszaną, i żeby ochraniano to, co stwórca sam dla niszczenia szkodników stworzył. Jeżeli też panowie chcecie wspierać umiejętnie rolnictwo, to nie ograniczajcie łowu ptaków i dodajcie jeszcze do tego ochronę ptactwa drapieżnego; jeżeli zaś pragniecie ptaszki widzieć, cieszyć się nimi i spiew ich podziwiać, — to znowu dajcie zupełną wolność ptasznikowi. Tę gromadkę ptaszków, którą mu darujcie, oprocentuje on wam lepiej niż Rotszyld, bo gdy mu dziesięć ptaszków darujecie, to on przez łów dzierżb, sojek, jastrzębi i kobuzów sto wam odda. Jestto kontrakt, który możecie z zamkniętymi oczami z ptasznikiem zawrzeć.

Mówią, że dawniej było znacznie więcej ptaków niż dziś; chętnie temu wierzę, gdyż dawniej łów ptaków cztery razy był większym niż obecnie. Zresztą łów ptaków jest passyą, która dużo kosztuje, i od 40-u lat tak we Włoszech jak u nas znacznie mniej się tej passyi oddają. (Tu upomniał się mowca o sankcyonowanie ustawy krajowej o łowieniu ptaków w Trentynie, która już od siedmiu lat w ministerstwie rolnictwa zalega.)

Ustawodawstwo powinno być w zgodzie z prawami, którymi się przyroda rządzi, powinno się opierać na umiejętności i faktach, nie zaś na sentymentalności i poezyi. Jestem pewny, że i panowie nie zgodzilibyście się, aby sprawę rolnictwa patronować miały czułostkowe niewiasty, albo uczeni od zielonego stolika, idyliczni poeci lub bazgracze dzienników. Ci natchnieni ale zawodowo nie wykształceni ludzi napisali już dość poezyj o rolnictwie. Jeżeli tę sprawę jednak weźmiemy do rąk my, praktyczni reprezentanci ludności, to znikną przesądy i rolnictwo lepiej na tem wyjdzie.

Podnoszę z uznaniem, że rząd nasz w niejednej sprawie społecznej i ekonomicznej inne rządy wyprzedził; otóż teraz pragnąłbym, aby przyszedł przed innymi do przeświadczenia, jakimi to blagierami i oszukańcami są nasze drobne ptaszki, i przestał już raz brać w obronę tych zakapturzonych nieprzyjaciół naszych pól i lasów.

Któż teraz walczy w lasach, niszczonych przez mniszkę brudnicę? Czy małe ptaszki? Nie. Przeważna ich część odleciała, a na wyłomie została rączyca, ważki i ichneumonidy. Taschenberg, wspominając w VI tomie Brema o zniszczeniach lasów w r. 1852 w Prusiech wschodnich przez mniszkę, tak pisze: „już teraz pokazało są wiele chorych gąsienic i niezliczona moc owadów gąsieniczkowatych (ichneumonidów), których białe poczwarki okryły później jak śnieg gałęzie drzew.“ Tak mówił o owadach, ale o ptakach jako tępicielach mniszki nie miał nic do powiedzenia — nawet ich nie wspomniał.

Ja sam, jeszcze przed 40-u laty, znalazłem mniszkę w moim lesie w Trentynie. Zbierałem ją i później, ale nigdy nie zdołała ona rozmnożyć się tak, aby stać się klęską dla lasu, gdyż owady pasożytne zawsze ją w nadmiernym rozroście powstrzymywały. A ptaków, zaręczam panom, jest w lesie moim na wiosnę i w lecie nadzwyczaj mało. Tam zaś, gdzie ptaków bywa dużo, rozmnaża się mniszka do rozmiarów klęski leśnej.

Natura, moi panowie, to księga bardzo zwodnicza. Około 5530 lat musiało upłynąć, nim jej wydarto tę jednę tajemnicę, że nie słońce koło ziemi, lecz ziemia koło słońca się obraca. Biada więc człowiekowi, który księgę natury pobieżnie lub jednostronnie przerzuca. Ja sam, mając lat 12, i idąc za wskazówkami profesora, tępiłem w ogrodzie, z młodzieńczym zapałem, jako szkodliwe pewne chrząszcze — które potem, mając lat 42, przywoziłem sam do mego ogródka w Wiedniu, aby mi pomagały tępić szkodliwe gąsienice, których ani wróble ani kosy wyzbierać nie raczyły. Jeżeli taki Brehm, uważany za gwiazdę w przyrodoznawstwie, zdołał popaść w rażące błędy i sprzeczności w swem dziele — jakież pomyłki popełniać mogą ci, co tylko powierzchownie do księgi przyrody zaglądają! Lecz jest już podstęp. Już i nasz rząd zaczyna sią owadami zajmować. Dalej więc w tym kierunku! Nie oczekujmy jednak wszystkiego od rządu. I wy, moi szanowni koledzy, starajcie się wpływać na nauczycieli szkół wiejskich, na waszą straż leśną, nawet na dzieci, ażeby zwracały uwagę na życie owadów i stosunek ich do ptactwa, a ręczę, że już po dziesięciu latach zdoła się rzecz ta rozjaśnić od dołu, i w lepszem ukaże się świetle, niż to, które ją dotąd z góry oświecało.

* * *

Na tem zakończył dep. Salvadori swą ciekawą mowę. Może być, że żarliwość w obronie ptasznictwa, któremu się cała ludność jego ojczystej ziemi oddaje, uczyniła go także stronniczym — to jednak pewna, że wypowiedział wiele spostrzeżeń, które powinny zredukować do właściwych granic istne bałwochwalstwo, wszczepiane dziś w nauce dla ptaków, jako najpożyteczniejszych tępicieli owadów, a tem samem współpracowników rolnika i leśnika. Myśliwy zaś, przeczytawszy te uwagi, mniej będzie czuł wyrzutów sumienia, gdy mu czasem jaki ptaszek pod lufę podpadnie. *St.*

KORESPONDENCYE.

Sniatynka 14 stycznia.

(Nasze stosunki myśliwskie).

Dawno już w „Łowcu“ nie było żadnego echa z powiatu drohobyckiego, a podpisany jako delegat poczuwa się do winy, z powodu zaniedbania obowiązków. Ale bo też nic trudniejszego, jak obowiązek delegata w tym okręgu; zawiązać jakiejkolwiek organizacyi niepodobna, bo przeważna część ziemi w rękach żydowskich lub c. k. kamery — pierwsi t. j. żydzi jak wiadomo z łowiectwem nic nie mają wspólnego, polują chyba na weksle młokosów rozbrykanych, a c. k. kamera zostawia Opatrzności opiekę nad łowiectwem i zwierzyną, tak przynajmniej dzieje się w naszym okręgu. Jest też tu pod niejednym względem źle, ale głównie pod względem łowiectwa, i od lat dziesięciu wielki jest upadek zamiast dorobku w gospodarstwie myśliwskiem — bo choć pojedyncze indywidua lub majątki tu i owdzie wytężają energię i środki materyalne dla podniesienia chowu zwierzyny — sąsiedzi mniejsi i więksi korzystają z tego, ażeby częściej jeść zająca lub kozinę.

Kłusownictwo, zwłaszcza na krzakach i polach gminnych, otaczających lasy rządowe, kwitnie w najlepsze. I tak, pozwoli sobie podpisany przedstawić obrazek z obrębu najbliższej bo graniczącej z nim okolicy. Rewir kameralny Lisznia, zawierający przeszło 3.000 morgów lasu ciągnącego się pasem dość długim aż do podnóża Karpat, przed laty kilkunastu dzierzawionym był przez podpisanego. W początkowo pustej kniei rozmnożył się w ciągu trwania jego dzierzawy stan sarn do znacznej ilości i można go było nazwać wzorowym, lecz po upływie terminu dzierzawy, kamera z niewiadomych powodów odmówiła podpisanemu odnowienia kontraktu i polowanie przeszło na własny zarząd właściciela, t. j. rządu. Minęło lat kilkanaście — i oto dzisiaj ta knieja jest próżną i pustą, a na ponowie wygląda jak arkusz białego papieru, którego dziewiczej białości nikt dotknąć się nie ośmielił, chyba sojka zbierająca żołędzie, albo złodziej leśny wynoszący kradzione drzewo. Podpisany dzierzawił z tego rewiru tylko 1500 morgów bezpośrednio z nim graniczących, i na tej samej przestrzeni po kilku latach szanowania ginęło 15 do 20 rogaczy rocznie, zginęło nadto kilka wilków i dzików, nie licząc drobnej zwierzyny. Dziś jakże inaczej! W przeszłym tygodniu polowano tam w 11. strzelb ze znaczną pogonką i na tej samej przestrzeni 1500 morgów, wyraźnie 1500 morgów, zginęło 6 zajęcy i 2 lisy! Tylko od granicy podpisanego ruszono dwoje sarn i w ostatnim miocie także dwoje sarn. — Czy tak powinna wyglądać knieja, w której podpisany przed kilkunastu laty, ustępując z dzierzawy, zostawił remanent przynajmniej 150 sztuk sarn?— zostawiam do osądzenia najbezstronniejszemu sędziemu.

A teraz zapyta kto, dlaczego taka zmiana na niekorzyść? Odpowiedź łatwa. Wówczas, gdy sarn było dużo, powiedziano sobie w zarządzie lasowym: „Hulaj dusza! sąsiad wychował, a my bijmy kiedy jest co!“ — Powtóre krzaki pola gminne, okalające tę knieję, niegdyś dobrze pilnowane przez straż podpisanego, zarząd kameralny zostawił amatorom, a ci amatorowie wspólnie najmują od gmin polowanie i zacząwszy od stycznia a skończywszy w grudniu, bez względu na porę szanowania, co wieczór siedzą jak tyraliery rozrzuceni nad rowem lasu rządowego i biją co pod lufą wyjdzie. Im więcej ubiją, tem lepiej, — a że zmierzch wieczorny jest towarzyszem tych samotnych strzelców, więc rozeznawanie rogacza od kozy jest niepodobne — co na placu to nieprzyjaciel — i wszystko pada, lub postrzelone kości swoje biegnie złożyć na granicy posiadłości podpisanego. Serce myśliwego krwawi się na ten widok, a myśl smutna rodzi się, że przecież jeszcze mieszkamy w dzikim kraju, w którym ustawy są często, bardzo często, martwą literą — bo w społeczeństwie naszem duch obywatelski spi, uszanowania dla interesu ogólnego nie ma.

Drugi przykład: Dobrowlany, wieś należąca do probostwa drohobyckiego, las około 550 czy 600 morgów, graniczy bezpośrednio z Rychcicami. Od podpisanego oddzielają go pola gminy Dobrowlany, które podpisany trzyma w dzierzawie. Polowanie w Rychcicach pilnowane i szanowane wzorowo, zwierzyna pielęgnowana i karmiona — u podpisanego także niezgorzej, a w Dobrowlanach?... Odbyło się tam w święta polowanie, z jakim ogólnym rezultatem tego podpisany nie wie, ale za to wie, że padły dwie kozy. Jeżeli tak na oficyalnem polowaniu, na którem może jeszcze i przedstawiciele władz się znajdowali, sobie pozwolono, to cóż się dzieje cichaczem? Niech wolno będzie zapytać się, dlaczego o tem nie wie władza, która wiedzieć powinna? Dla czego c. k. żandarmerya nie przekona się naocznie, kto i na co poluje, i czy wykonanie polowania jest zgodne z obowiązującą ustawą łowiecką? Wiedzą wszyscy, a nawet głośno i z oburzeniem mówią o tem ci, którzy sami po nocy cicho kozy strzelają. Odpowiedź ta sama co wyżej: mieszkamy w dzikim kraju — ustawa martwą literą, bo duch obywatelski spi.

Cieszyłby się podpisany, gdyby ten objaw smutny był tylko charakterystyką jednego, tutejszego powiatu, ale bodaj, czy nie znajdzie się więcej takich...

Jeżeli tak dalej pójdzie, to bądź zdrów stary łowcze, siadaj na statek, jedź do Brazylii lub do Afryki środkowej, ale nie usłyszysz tam już koncertu, który „Wojski grał“—ten róg, co się skręcał i rozwijał jak wąż boa, w którego muzyce brzmiała tradycya polskich łowów, rycerski animusz, poezya puszczy i to wszystko co podnosiło ducha od ziemi—ten róg zamilknie na zawsze... Ale to nic, ty strzelaj sobie hipopotamy, krokodyle i bawoły — byleś miał za co, i hołdując wstrętnym prądom wieku, powiedz sobie na pocieszenie: *„ubi bene ibi patria.“* *St. Tarnowski*

Bereska 17. stycznia 1892.

(Kłopot z kozami i fuszerami. — Dzik ratuje humor).

Wczoraj była ponowa tego rodzaju, że zające nie ruszały. Wybrałem się z trzema wolnymi psami na rogacze. Psom w taki dzień trudno trafić zająca, więc gonią sarny lub lisa — a że mnie się zdarzało na takiem polowaniu zabić rogacza na daleką odległość kulą, więc i wczoraj wziąłem trzylufek. Polowanie szło nie tęgo. Dawniej, gdy wolny pies trafił na stadko sarn, to kozy uchodziły w bok, a rogacz nadstawiał się psu i wychodził przed psem na stanowisko — dziś przeciwnie — czy sarny znają ustawę — czy nauczone doświadczeniem, że do kóz nie strzelają — czy może znają przysłowie: „gdzie dyabeł nie może, tam... kozę poszle“ — dosyć, że teraz przed psami wychodzi najczęściej stara koza. Tak mi się też i wczoraj przydarzyło; miałem trzy kozy za każdem puszczeniem psów pojedyńczo

przed sobą — podziwiałem ich urodę — słowem miałem szczęście do płci żeńskiej... ale nie strzelałem.

Na domiar szczęścia psy się zagoniły i pomimo trąbienia nie wróciły. Miałem z sobą czterech ludzi, więc kazałem, aby się zamienili w nagonkę i przegonili cypel grubego bukowego lasu od pola, podszytego drobną jedliną. Miot był mały, zaczęli gonić — i zaraz dwie kozy przeszły obok mnie. Zapatrzyłem się na nie — wtem oglądam się — i widzę odyńca idącego na kulawy sztych. Zgiąłem kurek na lufę ekspresową, dzik na 20 kroków przedemną idzie świńskim kłusem — strzelam — zrulował. Po chwili podnosi się naprzód — strzelam śrutem za ucho — leży. Oglądam moją zdobycz niespodzianą — wyjmuję nabój ekspresowy, otwieram trzylufek — a w tej chwili dzik pomknął w szalonym biegu w ubocz. Poszedłem za nim. Po susach kilku zaczął iść drobnym truchtem, stawiał nogę koło nogi, tak, że się trop łączył z tropem. Na to nadbiegła suka, poszła za tropem i zaczęła naszczekiwać. Może o 160 kroków leżał — gdy nadszedłem, podniósł się — strzeliłem za ucho, i to mu pomogło, legł nieżywy. Ważył po wypatroszeniu 314 funtów cłowych.

Dobry to wynalazek trzylufek — ciężki, często niezgrabny, ale jak dla mnie wczoraj, nieocenionej wartości.

Jeszcze jedno zdarzenie.

Byłem 9. stycznia na polowaniu, lecz gdzie i w jakim powiecie, nawet początkowymi literami nie oznaczę. Na flance stało sześciu myśliwych, którzy strzelili 9 razy. Gdyśmy z głównej linii się zeszli, mówię: „Na flance musieli zabić choć pięć sztuk“. Na to jeden myśliwy i rzeczoznawca powiada: „Trzymam zakład, że nie mają trzech“. Drugi mówi: „I ja trzymam“. Zakładam się tedy z obydwoma — o co? — no, o pieniądze, o mały kapitalik, choć niżej 100 zł. i czyby kto uwierzył? — przegrywam. Zabili — strzelając 9 razy do rogaczy i zajęcy... j e d n e g o zająca.

Miotany żądzą zemsty, chciałem wygrywających pokłócić z tymi, na których fuszeradę się zakładali, przedkładając, że to lekceważenie, iż wypadałoby ich wyzwać — ale fuszery byli gorący w strzelaniu, a zimni w wyzywaniu i nie wyzwali. Zresztą, musieliby wymówić sobie po 9 strzałów, gdyż inaczej nie byłoby trupa. Że tak było, świadkiem gospodarz i 17tu obecnych na tem polowaniu myśliwych — a tym sześciu niechaj Bóg mojej krzywdy nie pamięta.

Teofil Żurowski.

K o ł o m y j a dnia 28 grudnia 1891.

(W sprawie strzelania psów).

„Pies przydybany w lesie lub na polu uważany być ma jako szkodnik, i jako taki podlega doraźnej karze śmierci“. Słuszna ta zasada łowiecka bywa u nas przeważnie fałszywie tłumaczoną, i doprowadziła w ostatnich czasach do srogiego prześladowania psa — tego wiernego przyjaciela i towarzysza naszego.

Nie gniewajcie się panowie myśliwi na prześladowanie psów w mieście: wszak wy sami dajecie zły przykład, a często i powód do tego. Widziałem sam młodego panicza — dziecko prawie — który, zniecierpliwiony niesfornością swego młodego psa legawca, zamiast skarcić go należycie, strzelił do niego z bliska cienkim śrutem. Pies okropnie postrzelony jęcząc umknął do pobliskiego lasu, a w tydzień potem przyszedł wściekły do sąsiedniego miasta, gdzie pokąsał wiele innych psów, i wreszcie po długich obławach został zabity.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że psy wypłaszają i niszczą zwierzynę, chodzi tylko o to, wśród jakich okoliczności podlegać one winny karze śmierci. i przez kogo ma być ta kara wymierzaną. Największe szkodniki leśne są to zwykle psy kłusowników. już odpowiednio tresowane. Pies taki, zwykle już strzelany, nie zbliży się w lesie do obcego człowieka, co więcej, nie wyjdzie nawet za gonioną przez siebie zwierzyną po strzale, dopiero wtedy, gdy nawoływanie swego pana usłyszy. Szkodnikami są także psy wiejskie, polujące na pisklęta i na młode zające. Psy takie jak i pierwsze są nadzwyczaj ostrożne, a ponieważ właśnie dlatego nie są tak pod ręką, więc strzela się psa jak się nadarzy, strzela się go wszędzie: na drodze, w ogrodzie, na podwórzu, i najczęściej „niewinny głowę da“, a strzelanie psów można by u nas nazwać osobną gałęzią łowiectwa krajowego.

Najsmutniejszem jest jednak to, że funkcyę tę okropną wykonują z upodobaniem sami myśliwi, i wielu z nich chwali się ilością ubitych psów, poczytując to sobie jako godne Nemroda czyny. Cóżby nasi praojcowie powiedzieli na to — że łowiectwo, ta ich najpiękniejsza rycerska zabawa, bywa teraz w ten sposób posponowaną! Ich „sagalasówki“ pewnie nie plamiły się takimi czynami. Iluż to myśliwych strzela teraz do psów w celu wypróbowania lub pochwalenia się celnością swego ekspresa! Iluż to myśliwych utrzymuje, że strzelenie młodego i gorącego psa legawego jest koniecznem uzupełnieniem racyonalnej tresury?

Strzelanie psów doprowadza już nawet do zdziczenia obyczajów myśliwskich. Widziałem myśliwego (niestety „osobę duchowną“), który na polowaniu nawoływał do siebie psa gończego ze sąsiedniej leśniczówki, a gdy pies z radością skomląc, kręcąc ogonem i łasząc się, przybiegł, strzelił do niego z najzimniejszą krwią. a strzelił tak fatalnie, że trzeba było jeszcze kilka strzałów obecnych myśliwych, żeby okropnym jękom postrzelonego psa, i temu prawdziwie katowskiemu czynowi dzikiego strzelca koniec położyć.

Są nawet myśliwi, którzy często na cały dzień wyjeżdżają za psami na t. z. „objazdki“, i strzelają psa na drodze w zagrodzie i wszędzie, tylko nie tam, gdzie on rzeczywiście szkodę robi. Każdy amator psów wie, jak to jest przykro stracić psa swego w ten sposób. — A ileż to psów pada niewinnie przy takiem polowaniu? Ileż psów pada później jako ofiary zemsty — za winy swoich panów? — Niesmaczne to polowanie jest rzeczywiście zadziwiającem. Wszak tępienie psów w miastach należy do najniższych i najpodlejszych organów, których często pomimo dobrej płacy dostać nie można. Wszak jest to ta sama, bo nawet ważniejsza funkcya, bo tu chodzi o ochronę ludzi, tam tylko o ochronę zwierząt. Tępienie więc swojskich szkodników jest przykrym obowiązkiem straży leśnej, i nie powinno być rzeczą myśliwego, który zawód łowiecki ceni jak należy. Znam knieje, w których leśni za zabicie psa dostają 5 zł. nagrody, a dostają ją nie za trudność, tylko za nieprzyjemność takiego strzału. — Zaprzestańcie więc panowie myśliwi (zwykle młodzi) tej niepięknej zabawy, i nie pozwalajcie też powołanym organom psa strzelać śrutem, tylko kulą, gdyż bardzo wiele postrzelonych psów uchodzi, unika człowieka i wścieka się z bolu i głodu.

J. Ł.

Sprawozdania łowieckie.

Z G a l i c y i.

— W S t a r z a w i e, w lasach skarbowych, a mianowicie w rewirach Jacynów i Ostrykowiec, polował d. 13. z. m. arcyks. Leopold Salwator. W polowaniu tem wzięli udział jen. kawal. Görger, major bar. Lazarini. podpułkownik Na-

chocki, dyrektor dóbr skarbowych radca Glanz, kapitan artyleryi Pregler i porucznik Karol Ambrosius.

Strzelano tylko do grubego zwierza i ubito 3 dziki; jeden trzycetnarowy padł z drylinga Arcyksięcia, drugiego, lochę, ubił dyrektor Glanz. Sygnalizowano około 30 sztuk dzików, lecz nie można ich było wypędzić na linię.

W czterech miotach nie widziano ani zająca ani sarny, gdyż wszelkiego użytecznego zwierza wytępiły tam rysie. Niestety, żaden z tych rabusiów nie dostał się tym razem pod lufę. *G.*

— Dnia 4. stycznia r. b. odbyło się polowanie w Ossowcach (pow. Buczacz) u hr. Aleksandra Potockiego. Knieja nie duża, ale starannie strzeżona, obfituje coraz więcej w zwierzynę i polowania w niej coraz lepsze. W r. b. zabito w półczwarta godziny w 5 strzelb 1 kozła i 50 zajęcy. Przytem dzień był niekorzystny do polowania, gdyż z powodu przymrozku na śniegu po odwilży pod nogami bardzo hrupało — a zające wynosiły się w pole całymi gromadkami; także dwóch strzelców zawiodło. W innych lepszych warunkach mogło paść niewątpliwie około stu zajęcy.

Polowanie było umiejętnie i doskonale prowadzonem, a właściciel kniei Ossowieckiej w ogóle zasługuje ze strony Towarzystwa łowieckiego na jaknajwiększe uznanie.

A. Z. C.

— W dniach 30. listopada 1, 2, 3 i 5 grudnia z. r. odbyło się doroczne polowanie w Daszawie, dobrach Wnej pani Felicyi Sozańskiej, w 14 strzelb. Mimo niesprzyjającej i bezśnieżnej pory, rezultat tego aroczego polowania może każdego myśliwego zupełnie zadowolnić, gdyż po polowaniu znajdowało się na rozkładzie: dzików 9, lisów 45, rogaczy 27, zajęcy 54, kun 2, jarząbków 3 i sów uralskich 8.

Dzików zginęło mniej niż każdego roku, a to z powodu, że nie można było ich otropić i strzelano w każdym miocie do wszelkiej zwierzyny. Braliśmy wszakże mioty, gdzie było po kilkanaście a nawet kilkadziesiąt dzików, nie chciały jednak wyjść dogodnie dla myśliwych. Raz tylko w miocie „Widły“ drużyna złożona z dwudziestu kilku warchlaków wypadła między p. Z. Obertyńskiego i podpisanego, z których pierwszy położył dwa, a niżej podpisany jednego warchlaka.

W ogóle stan zwierzyny w rewirach Daszowskich jest śliczny i z każdym rokiem pomnaża się widocznie.

Wypełniwszy obowiązek reportera-myśliwego, niech mi będzie wolno w imieniu wszystkich mych towarzyszy, uczestników tego ślicznego polowania, wyrazić serdeczne „Bóg zapłać“ łaskawej właścicielce, za serdeczną gościnność i prawdziwie myśliwską biesiadę z nadzieją, że i w roku przyszłym nie minie ich ta rozkosz, której w Daszawie doznali. *Juliusz Tarnowski.*

— W Chrostkowie u J. E. hr. Wilhelma Siemińskiego, w lasach „Postołówka, odbyło się w d. 4 i 5 stycznia polowanie, na którem padło 130 zajęcy, 16 kozłów i 2 lisy. Strzałów dano 482. W pasie podolskich Miodoborów jest to jedna z najpiękniejszych i najlepiej zaszanowanych kniei myśliwskich.

— W Chlibowie, majątku hr. Szczęsnego Koziebrodzkiego, w powiecie Skałackim, odbyło się d. 9. stycznia polowanie, na którym padły: 2 dziki, 2 kozły, 1 lis i 44 zajęcy.

— Dnia 29. i 30. grudnia 1891 r. odbyły się polowania w lasach, należących do państwa Płotycz, u hr. Juliusza Korytowskiego koło Tarnopola. Dnia 29., w rewirze Czerniechów, zabito w 10 strzelb na 68 strzałów 29 zajęcy i 1 rogacza. Dzień ten był nieprzyjaźny dla łowów, deszcz i śnieg padał bez przerwy, okap z drzew wypłoszył zające z lasu. Rezultat polowania byłby niezawodnie trzy razy lepszy, gdyby pora była przyjaźniejsza łowom. Znana bowiem jest dbałość, porządek i staranność w chowie zwierzyny właściciela tych lasów.

Dnia 30. polowaliśmy w rewirze Małaszowce. Pomimo niezwykłego ciepła, pora była trochę przyjaźniejsza, wypogodziło się, słońce prawie wiosenne przyświecało. Na 83 strzałów padło 28 zajęcy i 6 rogaczy w kniei dwusto-morgowej. Zające nie chciały wychodzić na linię, mnóstwo też przebiło się przez liczną i wzorowo prowadzoną nagonkę; a tak śmiało szarżowały szaraki na nagonkę, że jednego zająca zupełnie zdrowego zabił naganiacz kijem.

Łowom tym towarzyszyła dzielna hr. Z. St., trafnością strzałów i wytrwałością nie ustępująca najwytrawniejszym myśliwym. *Mieczysław Konopacki.*

— Po przebyciu kilkunastomilowej drogi pokrytej lodem, niebezpiecznej dla jadących kołowym wehikułem — zajechaliśmy 11. stycznia b. r. do uroczych Petlikowiec, własności hr. Korytowskich.

Knieja ta to istne Eldorado dla myśliwego, prawdziwy „matecznik“ zajęczy. Na przestrzeni 310 morgów lasu, nad rzeką Strypą, roją się szaraki, jakgdyby spędzone stada z rozległych równin podolskich. Widocznie, prócz sprzyjającego położenia, czujność i staranne pielęgnowanie zwierzyny zwabia tu tego wesołego skoczka naszych pól. Dnia 12. stycznia rano wybraliśmy się w 9 strzelb do tej kniei, o kilkaset kroków od dworu położonej. Rozpoczęła się kanonada, tak miła dla ucha myśliwego. W 5-ciu godzinach na 198 strzałów zabiliśmy 102 zajęcy i 1 lisa. Intruz ten wśród rzeszy zajęczej poległ od broni hr. W., przybyłego na te gody aż z nad Wisły — z Krakowa. Mnóstwo szaraków wymknęło się słabo obsadzonymi flankami w pola, pozostawiając nadzieję równie dobrego rezultatu łowów na rok przyszły. Sarn jest tu kilkanaście, ale rogacze i mądre i szczęśliwe, żaden na strzał nie wyszedł.

— Dnia 13. b. m. wyjechaliśmy do Romaszówki, własności młodego hr. Adama Starzeńskiego. W kniei około 300-morgowej zabiliśmy 23 zajęcy i 2 lisy. Pomimo, że właściciel nie mieszka tam i że w sąsiedztwie nie wszędzie dbają o zwierzynę, knieja ta jest dobrze strzeżona, bo polowaliśmy tylko 4 godziny w sześć strzelb, i mnóstwo zajęcy uszło, a widzieliśmy także kilka sarn. Młody gospodarz, wielki miłośnik łowów, doprowadzi kiedyś tę knieję niezawodnie do podobnego Petlikowcom zwierzostanu, a serdeczna, staropolska jego gościnność wznowi tę tradycyjną w dworze Romaszowieckim cnotę.

Mieczysław Konopacki.

— W Toporowie, majętności hr. Baworowskiego, padło na urządzonem niedawno polowaniu 8 dzików, kilka rogaczy i lisów. Do zajęcy nie strzelano wcale. Leśniczy miejscowy, karmiąc dziki zawsze w jednem miejscu i o jednej godzinie, przyuczył je przychodzić o porze obiadowej w to samo miejsce, i dzięki temu można je było strzelać z trybuny, jak to przy dzikach zwierzyńcowych bywa.

— W Turzy Wielkiej, w lasach skarbowych, polowano w pięć strzelb przez cztery dni, tj. 11., 12., 14. i 15. stycznia. Wynikiem łowów było: 4 dziki, 26 kozłów, 23 lisów, jarząbek i sowa uralska. Jako strzał niezwykły należy podnieść tryplетę hr. Juliusza Bielskiego (syna), daną z drylinga trzema kulami, od których padły trzy warchlaki.

— Lasy, położone na pograniczu powiatu rzeszowskiego i łańcuckiego były w ubiegłym tygodniu widownią krwawej potyczki z dzikami. Przebywają one stale tylko w Hadlach i Tarnawce — stąd jednak robią wycieczki do przytykającego bezpośrednio lasu lipnickiego i sieteskiego i tędy mają prawdopodobnie szlaki do lasów pruchnickich, stałej także siedziby dzików.

Dnia 9. stycznia polowano w szczupłem gronie myśliwych w Tarnawce, gdzie postrzelono odyńca i zabito warchlaka D. 12. stycznia ubito w Hadlach dwie tęgie lochy i odyńca. Dnia 14. na polowaniu w lesie lipnickim padł jeden wycinek, następnie przeniesiono teatr wojny do lasu ruczańskiego gdzie zabito drugiego. Nakoniec d. 15. stycznia zabito w Tarnawce młodą loszkę.

Zauważyć należy, że pomimo, iż strzelano tylko z gładkich luf, nie chybiono ani jednego dzika, z wyjątkiem odyńca w pierwszym dniu polowania, który szedł wielkim gąszczem i temu swe ocalenie, a raczej tylko postrzelenie zawdzięcza.

P. Łastowiecki.

— W dniu 3. stycznia b. r. odbyło się polowanie w dobrach Holeszów, majętności p. Leona Thoma. Już w przededniu polowania zjechali się zaproszeni przez młodych panów Józefa i Maksymiliana Thomów, przeważnie koledzy oficerowie-myśliwi w liczbie 24-ech, do tyle miłego im z poprzednich polowań Holeszowa. Przy wieczerzy w gościnnym domu gospodarzy wrzała pogawędka na temat myśliwstwa i jutrzejszych nadziei spotkania się z dzikiem, obecny bowiem leśniczy obiecywał nam na pewne dziki.

Nazajutrz więc rankiem, po spożyciu śniadania, udaliśmy się do kniei sanną i tu rozpoczęła się zaraz kanonada do rogaczy, sarn bowiem w lasach Holeszowa —dzięki zabiegom p. Maksymiliana Thoma, który, będąc sam zamiłowanym myśliwym, od kilku lat szanuje i karmić każe wszelką łowną zwierzynę w czasach zawiei i śnieżnej zimy — jest tyle, że wielu właścicieli u nas w Galicyi pozazdrościć mu może. To też w każdym miocie była pukanina niezwykła, w ostatnim zaś zobaczyli się nasi panowie myśliwi z upragnionymi dzikami, z których 2 padło. P. podpułkownik Lchocki położył celnym strzałem z ekspresa piękną lochę na miejscu, a porucznik p. Putti odyńca. Rezultat polowania jak na te czasy i stosunkowo niewielką knieję był nadspodziewanie piękny; padło w ciągu dnia 156 strzałów — nasi panowie koledzy przyznali się sami do wielu pudeł — a na rozkładzie mieliśmy 4 kozły, 23 zajęcy, 13 lisów i 2 dziki. Znając od lat wielu knieje tamtejsze, nie pamiętam, aby kiedy tyle zajęcy padło.

Po skończonych łowach znaleźliśmy się znów przy wspólnym stole, a przy objedzie wypiliśmy dobrym węgrzynem zdrowie króla polowania, p. podpułkownika Lchockiego i kierownika łowów, pana rotmistrza Preglera, dziękując zarazem uprzejmym gospodarzom za tak miłą rozrywkę.

Ksawery Burzyński.

Z Królestwa polskiego.

— W Jabłonnie u hr. Augusta Potockiego polowano w dn. 19 i 24. grudnia r. z.

Na pierwszem polowaniu, w którem brało udział 15-tu myśliwych, a między innymi ks. Maciej Radziwiłł z żoną, hr. Wielopolscy, hr. Tomasz i Maurycy Zamoyscy, dano strzałów 162 i ubito 7 rogaczy, 78 zajęcy i lisa.

Na drugiem polowaniu padło 6 kozłów, 242 zajęcy i 1 lis. Stan zwierzyny jest w ogóle słabszy, niż lat poprzednich.

— W Rogowie, w pow. pińczowskim, u hr. Włodzimierza Skórzewskiego, odbyło się dn. 14. grudnia polowanie kociołkowe na zające w 9 strzelb. Ubito 68 zajęcy i kuropatwę.

— W Woronczynie pod Kowlem, majętności ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego, polowano w pięć strzelb na dziki i ubito w ciągu jednego dnia 6 dzików i łosia.

— W Zegrzu, u ks. Macieja Radziwiłła, odbyło się polowanie, na którem padł 1 rogacz i 140 zajęcy.

— W Klimontowie, w lasach należących do p. Włodzimierza Karskiego, polowano w 12 strzelb dnia 14. i 15. stycznia. Padło 8 kozłów i 83 zajęcy. Stan sarn w tej kniei bardzo dobry.

— W Karnkowie pod Lipnem, u p. Ignacego Karnkowskiego, odbyło się d. 16. stycznia polowanie w dziesięć strzelb, na którem padło 87 zajęcy i 1 lis.

— W Grzymalinej Woli, majętności p. Leopolda Kronenberga, odbyło się polowanie, na którem ubito 2 kozły, 200 zajęcy i 2 lisy.

— W Guzowie, własności p. Kaźmierza Sobańskiego, polowano przez trzy dni w 10 strzelb. Padło 175 zajęcy. Królem polowania był ks. Michał Woroniecki, który zabił 32 zajęcy.

— W Rzędowicach u pp. Helclów odbyło się dwudniowe polowanie w lasach, położonych nad tunelem kolei dąbrowskiej. Myśliwych było czternastu; ubito 4 rogacze, 150 zajęcy i 3 lisy.

Z powodu terenu łowów, bardzo w tej okolicy górzystego, przerzniętego urwiskami i przepaściami, a więc trudno dającego się zabrać przez nagankę, wiele zwierzyny uszło bez strzału.

— W Turny, w powiecie wągrowskim, u p. J. Popiela, odbyło się w dniach 13. i 14. stycznia polowanie w 6 strzelb. Ubito 56 zajęcy i 2 lisy.

— W Goślubiu pod Kutnem, u p. Gustawa Trzaskowskiego, polowano w siedm strzelb i zabito w ciągu jednego dnia 110 zajęcy.

— W Przeździatce, w Siedleckiem, u p. Stanisława Hierszmana, odbyło się polowanie w 16 strzelb w dniach 21 i 22 grudnia r. z. Ubito 6 rogaczy, 202 zajęcy, 2 lisy i 15 bażantów.

— W Sokolnikach, w Łęczyckiem, własności p. Herbsta, polowano d. 30. listopada z. r. w 12 strzelb i ubito 106 zajęcy, 22 bażantów i 2 lisy.

— W Wasylewie pod Mińskiem, na trzydniowej obławie, urządzonej w dniach 25 do 28. listopada r. z., ubito 1 niedźwiedzia, 5 rogaczy, 62 zajęcy, 6 lisów i 4 borsuki.

KRONIKA.

Do galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego przystąpili następujący nowi członkowie:

Abrahamowicz Dawid, hr. Baworowski Włodzimierz, Bal Stanisław, Barański Włodzimierz, Bielański Roman, br. Brunicki Józef, Cielecki Alfred, Czajkowski Jan, hr. Dębicka Marcelina, hr. Dzieduszycka Juljuszowa, Domaszewski Wacław, hr. Drohojowski Jan, Ekielski Józef, Głębocki Władysław, Homolacz Stanisław, Horodyski Jerzy, Horodyski Kazimierz, Horowitz Samuel, Jabłonowski Stanisław, Korytowski Witold, Kozicki Władysław, Krajewski Józef, Krzeczunowicz Aleksander, Łoziński Władysław, Myszkowski Stefan, hr. Piniński Leon, Podlewski Józef, Romański Antoni, br. Romaszkan Zygmunt, Sadowski Konstanty, Excel. hr. Siemieński Wilhelm, br. Siemieński Stanisław, Skibniewski Aleksander, Sołowij Tadeusz dr. praw, Stahnik Aleksander, Szyszkowski Bolesław, Wartanowski Grzegorz.

Łowy cesarskie. Najgłówniejsze łowy w rewirach cesarskich w bieżącym sezonie, dały wynik następujący:

Na polowaniu, odbytem w d. 6. listopada r. z. w rewirze Babat, należącym do Gödöllö na Węgrzech, wzięto jedenaście miotów i ubito 1 łanię, 8 kozłów, 35 zajęcy, 2 lisy i 70 bażantów. Dnia następnego polowano również z nagonką w lasach Haraszt i zastrzelono: 126 zajęcy, 106 bażantów, 6 kozłów. 1 słonkę, 2 kuropatwy i 3 dzikie indyki. W polowaniach tych brał udział sam cesarz i arcyks. Franciszek Salwator.

W Hodoninie (Göding) na Morawie, w rewirze Ratyszkowieckim, odbyło się polowanie dworskie d. 30. listopada. Padło na niem 7 kozłów, 450 zajęcy, 295 królików, 435 bażantów i 57 kuropatw. Na drugiem polowaniu w Hodonińskim rewirze Zbrod, które się d. 7. grudnia odbyło, ubito: 6 kozłów, 600 zajęcy, 567 królików, 794 bażantów i 440 kuropatw.

W rewirze Vösendorf, należącym do zarządu wielkiego łowczego hr. Abensperg-Traun, polowano d. 26 listopada i ubito 338 zajęcy i 10 kuropatw, a w rewirze Hennersdorf polowano d. 6 grudnia i zastrzelono 724 zajęcy i 40 kuropatw.

W ostrowach Dunaju, a mianowicie w Mühlleiten, odbyło się polowanie d. 23. grudnia z rezultatem następującym: 2 kozły, 56 zajęcy, 17 królików i 200 bażantów. Następnego dnia polowano w Lobau i ubito 3 kozły, 7 zajęcy, 2 króliki i 137 bażantów.

Polowanie na dziki odbyło się w zwierzyńcu cesarskim w Lainz d. 21. grudnia. Padło razem 300 sztuk dzików, między tem 231 warchlaków. Z tej liczby przypadło 53 sztuk grubszych a 73 warchlaków, t. j. razem 126 sztuk na jednego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este, który jest wybornym strzelcem. Liczne dublety i tryplety są oczywiście w strzałach tych do zanotowania.

W górskich rewirach Neubergu odbywały się polowania dworskie przy współudziale cesarza w dniach 28 do 30 grudnia. Wynik tych łowów był następujący: padło 6 szpiczaków, 78 łań i 16 cieląt, (jeleni) 1 kozica i 3 zające.

W Konopiście, kniei należącej do dóbr arcyks. Franciszka Ferdynanda d'Este, polowano od 23 do 28 listopada i ubito 2 kozły, 1372 bażantów, 353 kuropatw, 2543 zajęcy, 1 słonkę i 437 królików.

Karty myśliwskie. Wydział krajowy Austryi Dolnej przedłożył sejmowi wniosek, ażeby roczną taksę za kartę myśliwską z 3 zł. na 6 zł. podnieść. Motywa tego wniosku nie są wcale natury myśliwskiej, lecz powołują się na to, że fundacya szpitalna, na którą dochód z kart myśliwskich jest przeznaczony, wymaga rzeczonego podniesienia. Okazuje się stąd, jak niewłaściwem jest łączenie pewnych działów gospodarki budżetowej, nie oglądając się na organiczny między nimi związek; myśliwstwo ma w tym wypadku ponosić większe ciężary nie dlatego, że wskutek podniesionego gospodarstwa łowieckiego znieść je może, lecz, że innemu, myśliwstwu całkiem obcemu działowi administracyi potrzeba pieniędzy. Dochód z kart myśliwskich w Austryi Dolnej wynosił w r. 1890 32.000 zł. w. a. W Czechach płaci zarówno właściciel jak i dzierżawca polowania 10 zł. za roczną kartę myśliwską, w Morawach i na Bukowinie 5 zł. w. a.

Wilki pojawiają się ciągle na Bukowinie. D. 30 grudnia r. z. w lasach Franzthalu gromada tych drapieżników biegła gościńcem obok lasu i pokaleczyła kilka sztuk bydła na pastwisku. W Sadowie, pow. kimpolungskiego, gromada wilków opadła bydło na pastwisku i zrządziła straszliwe spustoszenia. Uwiadomiona o tem żandarmerya, przybyła natychmiast i musiała stoczyć formalną walkę z wilkami, zanim je rozpędziła. Wilki skaleczyły przytem dwóch żandarmów dość niebezpiecznie.

W ciągu stycznia pojawiły się wilki w okolicach Warszawy, koło Czyżewa, stacyi kolei Warszawsko-petersburskiej i porwały kilka sztuk bydła i owiec.

W Bośni koło Bieliny włóczą się także wilki gromadami i napadają ludzi.

Ogromnego niedzwiedzia czarnego zabił dnia 14. bm. w Worońcu na Bukowinie, w lasach funduszu religijnego, miejscowy dozorca lasu Jan Kowalski.

Wilki w Rosyi. Ziemstwo gubernii kazańskiej ogłosiło statystykę szkód, zrządzonych przez drapieżne zwierzęta, a głównie przez wilki. Ogółem w ciągu roku zostało rozszarpanych 7097 sztuk zwierząt domowych, między tymi 755 koni, i 1058 krów i wołów. Oddawna już ziemstwo wydaje corocznie 500 rs. na nagrody za tępienie wilków młodych, lecz środek ten nie zapobiega szkodom.

W gubernii nowogrodzkiej, w ciągu roku, wilki wytępiły 3,484 sztuk grubszego i 17,000 drobniejszego bydła, — ogółem na sumę 136,000 rubli.

W gub. samarskiej wilki zrządziły szkód na 300,000 rs. W rzeczywistości zaś straty o wiele przewyższają cyfry podawane przez ziemstwa.

Dodać też należy, że wilki nie ograniczają się jedynie na tępieniu zwierząt domowych, lecz napadają i na ludzi, a gubernie smoleńska i samarska dostarczyły największej ilości pacyentów lecznicy Pasteura i dostarczają w dalszym ciągu tego rodzaju lecznicom w Rosyi urządzonym.

Dziki w klatce. Przed kilkunastu dniami przewożono przez Warszawę w umyślnie zbudowanej klatce 2 odyńce, dwie maciory i 6 warchlaków. Kolekcya ta doskonałych okazów pochodzi z gub. grodzieńskiej i została nabyta przez p. von Halmana, właściciela dóbr i lasów na Szlązku w okolicy Bytomia. Dziki będą osadzone w specyalnie urządzonym ostępie dla rozpłodu.

Stan zwierzyny w Czechach. W roku 1890 ubito w Czechach 1,241.012 sztuk zwierzyny łownej, a mianowicie: 2348 jeleni, 1758 danieli, 11.048 kozłów, 587 dzików, 521.559 zajęcy, 27.656 królików, 1093 głuszców, 5097 cietrzewi, 682 jarząbków, 52.184 bażantów, 528.117 kuropatw, 10.289 przepiórek, 3622 słonek, 1428 kszyków, 369 gęsi dzikich, 13.726 dzikich kaczek, 2423 lisów, 2481 kun, 12.397 tchórzy, 291 wyder, 208 borsuków, 77 puhaczy i 41.572 rozmaitych ptaków drapieżnych.

Wystawa rogów odbyć się ma tej wiosny w Peszcie. Do udziału we wystawie dopuszczone będą tylko te rogi jelenie i sarnie, które już na poprzednich jedenastu wystawach 1szą, 2gą lub 3cią nagrodę otrzymały. Osobno dopuszczoną będzie konkurencya rogów z jeleni strzelanych na wolności, a osobno z jeleni zwierzyńcowych. Wyznaczono trzy nagrody honorowe, pierwszą na wieniec jelenia na wolności ubitego, drugą na rogi z jelenia zwierzyńcowego, trzecią na najpiękniejsze parostki kozła. Między wieńcami jelenimi, które już były pierwszymi nagrodami odznaczane, spotykamy się z najwyższą wagą 11·5 kilogramów. Są to rogi z jelenia, ubitego w komitacie marmaroskim w r. 1884. Drugie z kolei rogi ważą 9.7 kilogramów.

Pustynnika widział z początkiem grudnia r. z. leśniczy Schuhmann w miejscowości Wassergespreng w Lesie Wiedeńskim. Ptak ten zalatuje więc jeszcze ciągle do środkowej Europy i niewątpliwie, choć bardzo rzadko, wywodzi młode w niektórych okolicach.

Zające zaczynają tu i owdzie, wbrew swej naturze tchórzliwej, dokazywać. Z jednego z polowań kociołkowych w rewirze Tulln donoszą o szczególnie odważnym szaraku, który, dostawszy lekki postrzał, zrobił kluczkę, a następnie słupka, i przednimi skokami tak jął bić biegnącego za nim wyżła, że pies zgłupiał zupełnie, a następnie wziąwszy

ogon pod siebie, jak gdyby wstydząc się, że uchodzi przed kopyrą, wrócił do myśliwych. Ponieważ bohater zajęczego rodu był już postrzelony, nie można go było za ten czyn odwagi życiem obdarować, lecz musiano go dobić.

Inny szarak zabawił się w pływaka jakich mało: Że zające rzucają się w potoki i wpław je przebywają — to nie nowina, ale zając, o którym z Schönbichl nad Dunajem piszą, był tak zuchwały, że uchodząc przed nagonką, rzucił się w nurty Dunaju i przebywszy całą szerokość tej rzeki, zniknął w zaroślach przeciwnego brzegu. Był to widocznie jakiś „Schwimmeister“ między niemieckimi zającami.

Proch bezdymny. Pisma łowieckie występują coraz częściej przeciw używaniu prochu bezdymnego do celów myśliwskich. W obec znacznie większej siły wybuchowej tego prochu, trafiło się już niejednokrotnie rozerwanie strzelby i zranienie myśliwego. I konstrukcya broni musi być dla tego prochu silniejsza, i wymiar inny przy robieniu nabojów. Lepiej więc pozostać przy zwykłym prochu czarnym dla broni, jakiej dziś myśliwi używają, niż puszczać się na niepewne i niebezpieczne próby z białym prochem.

Uczenie aportowania. Jeden z myśliwych podaje następującą metodę nauki aportowania, chwaląc ją jako praktyczną i wiodącą rychło do celu. Przyzwyczaja on psa do podawanych mu kawałków cukru, tak, że pies, zwykle przy kawie porannej, oczekuje już na mały słodki kąsek z ręki pana. Po pewnym czasie, gdy pies na zwykły kąsek czeka, pokazuje się mu kawałek cukru, i zawija się go w chustkę od nosa lub serwetę, tak, aby pies wiedział, że cukier jest we środku, i rzuca się ten zwitek wołając: „aport!“ lub „przynieś!“ Pies, choć zrazu niezgrabnie, pobiegnie za zwitkiem, chwyci go i zazwyczaj odrazu panu przyniesie zaco oczywiście dostaje pochwałę, poczem rozwija się chustkę w jego oczach i daje mu się wydobyty ze środka cukier. I nie potrzeba ćwiczenia tego powtarzać więcej jak cztery lub pięć razy, ażeby psa do aportowania ułożyć.

O tańczących szarakach przysyła nam p. Jan Skrzypek z pod Kolbuszowy następujące opowiadanie:

„Było to w roku 1878 jakoś w marcu. Wybierałem się przy sobocie wieczorem na sesyę piechotą do dworu, blisko trzy ćwierci mili od leśniczówki oddalonego. A że w tym skarbie był należyty porządek zaprowadzony w karmieniu i pilnowaniu zwierzyny, to też z każdego leśnictwa, podleśnictwa i nadleśnictwa wysyłane były patrole nocne po dwóch razem — i te patrole schodziły się na umówionych miejscach dla kontroli lub dawały sobie znać wystrzałem. Patrole były wysyłane, by śledzić i łapać kłusowników, zabierać rozkładane ponęty, zbierać zastawiane łapki — a muszę wyznać, że złych ludzi, chciwych zwierzyny, nigdy nie brakło i nigdy się nie przebrali mimo należytego porządku w pilnowaniu. Z tego to powodu nakazałem jednemu z dozorców, by za mną przybył w nocy ku dworowi, to za jednym zachodem odprawi się sesya i patrol. Inny leśny napomknął, że tej nocy będzie zaćmienie księżyca, a że niebo było pogodne, przeto pomyślałem sobie, iż przecie raz zobaczę dokładnie zaćmienie księżyca — i wziąwszy raporty pod pachę, odszedłem.

Szedłem powoli, bo śnieg był na pół metra głęboki a miękki. Przyszedłszy do kancelaryi dworskiej, załatwiałem interesa zwolna, bo zaćmienie księżyca dopiero o 11. w nocy miało nastąpić. W kancelaryi dawali raporta polowi, chmielarze, ogrodnik, nadleśniczy i leśniczowie, rzecz się więc przeciągła. Skoro sesya się skończyła i wszyscy zaczęli się rozchodzić, wyszedłem i ja, lecz mego polowego, co miał zemną patrolować, nigdzie nie było. Zapił się poczciwina w karczmie. Sam zatem patrolowałem, oglądając się na obie strony drogi, a że w tej okolicy było mnogo zwierzyny, wszędzie więc widziałem po bokach drogi po 5, 7, 8 zajęcy, siedzących blisko drogi na bujnych oziminach, gdzie się mogły dokopać takowych. Idąc, przypatrywałem się także zaćmieniu księżyca, które wnet przeminęło; aż przychodzę na koniec tej wsi, w której był dwór i patrzę się na lewo, a tu coś tak o 300 kroków oddalone dwie istoty, trzymając się za szyję, skaczą zgrabnie po śniegu jakgdyby im muzyka do taktu przygrywała. Nie mogłem poznać coby to mogło być — wilki nie wilki? — od dwudziestu lat w tym skarbie służę i prawie od dzieciństwa między lasami przebywam, a nigdy tam wilka nie widziałem — dyabeł nie dyabeł? — Ale człek przecież cokolwiek uczony i od 40 lat po lasach o różnej porze roku i dnia w różnych miejscowościach lasu przepędzał, a nigdy dyabła nie widział. Coby to było? Czapkę na głowie włosy mi podniosły, chociaż na środku głowy miałem ich niewiele, i bojaźnią przejęty nie wiedziałem co począć. A tu sobie „furt“ hasało i to tak ładnie, tak do taktu, jakby jakie lalki sznurkiem pociągane.

Stojąc tak przez dłuższy czas naprzeciw hasających postaci, pomyślałem: „Co będzie to będzie, przepłacę zdrowiem lub życiem, a muszę się przekonać, co to być może?“ Ośmieliłem się nieco, i przeżegnawszy się tak szczerze, jak może nigdy w życiu się nie żegnałem — począłem zbliżać się do hasających, mając w ręku okutą laskę myśliwską do siedzenia. Strzelby nie nosiłem, bo mi już w starości uprzykrzyła się, a nadto dawałem przykład moim podwładnym, aby i oni bez strzelb chodzili, bo się przekonałem, że ani psy, ani koty i jastrzębie wszystkie nie potrafiły robić tyle szkody w polowaniu, co leśny, który chodził ze strzelbą.

Zbliżyłem się o jakie 50 kroków do hasających i pomyślałem: „Jeżeli dyabeł, to do mnie niema prawa, a jeżeli wilk, to przecież jednego mogę ubić laską, a drugiemu się do ostatka bronić będę.“ Zbliżywszy się więc do hasających o 50 kroków, stanąłem spokojnie. Spostrzegły to hasające postacie, rozłączyły się i oddaliwszy się o dwa kroki od siebie, przycupły w śniegu. Widząc, że hasający mają przedemną respekt, nabrałem odwagi, i zbliżyłem się jeszcze bardziej, a usiadłszy spokojnie na lasce, czekam co dalej będzie. Hasający znów się przybliżyli do siebie, a uchopiwszy się za szyje, hasają dalej. Postanowiłem tedy to hasanie przerwać i zbliżając się do hasających może na 50 kroków, poznałem dopiero dokładnie, że to były dwa zające. Cudnie ze sobą za szyjki złączone, hasały tak ładnie, że nigdy mi czytelnik nie uwierzy, a trzeci zając siedział o cztery kroki od hasających oddalony. Głym je bardziej postraszył, pobiegły wszystkie trzy dalej, a ja do tego czasu nie wiem, co mogło znaczyć to zajęcze hasanie. Najprawdopodobniej był to wynik parkoci, która się już podówczas odbywała. Ów zając na boku, to była pewnie samka, hasający zaś byli rywalami, którzy, nie mając innego sposobu do walki, walczyli owem hasaniem, walcując do upadłego. Parę lat jeszcze chodziłem na patrole nocne, ale już nie widziałem nigdy takiego karnawału zajęczego.“

Uprasza się szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze nie wnieśli wkładek za rok bieżący, ażeby je raczyli na ręce Sekretaryatu Towarzystwa uiścić. Dla ułatwienia w uiszczeniu wkładki, upoważnionym został Sekretarz Towarzystwa uchwałą Wydziału, ażeby w ciągu marca rozesłał sznurowe pokwitowania za pocztowem pobraniem należytości, o ile takowe do tego czasu nie zostaną w inny sposób wyrównane. Będzie to dla wielu szanownych Członków najdogodniejsza forma załatwienia rachunku, a Zarządowi Towarzystwa dozwoli utrzymać ład w administracyjnych sprawach Towarzystwa.

Redakcyę dochodzą zażalenia, że niektórzy z szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego nie otrzymują regularnie „Łowca“, pomimo, iż wszystkie numera jaknajściślej pod ich adresami bywają wysyłane. Gdyby któremu z p. t. Członków Towarzystwa brakowało jakiego numeru z roku przeszłego, raczy się zgłosić do Sekretaryatu Towarzystwa, a w miarę istniejącego zapasu będą brakujące numera natychmiast uzupełnione. Prosimy również reklamować każdy bieżący numer, jeśliby przypadkiem zaginął i do rąk adresata nie doszedł. Pożądanem jest, aby na reklamacyi potwierdzał dotyczący urząd pocztowy, iż reklamowanego numeru wcale nie otrzymał.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.